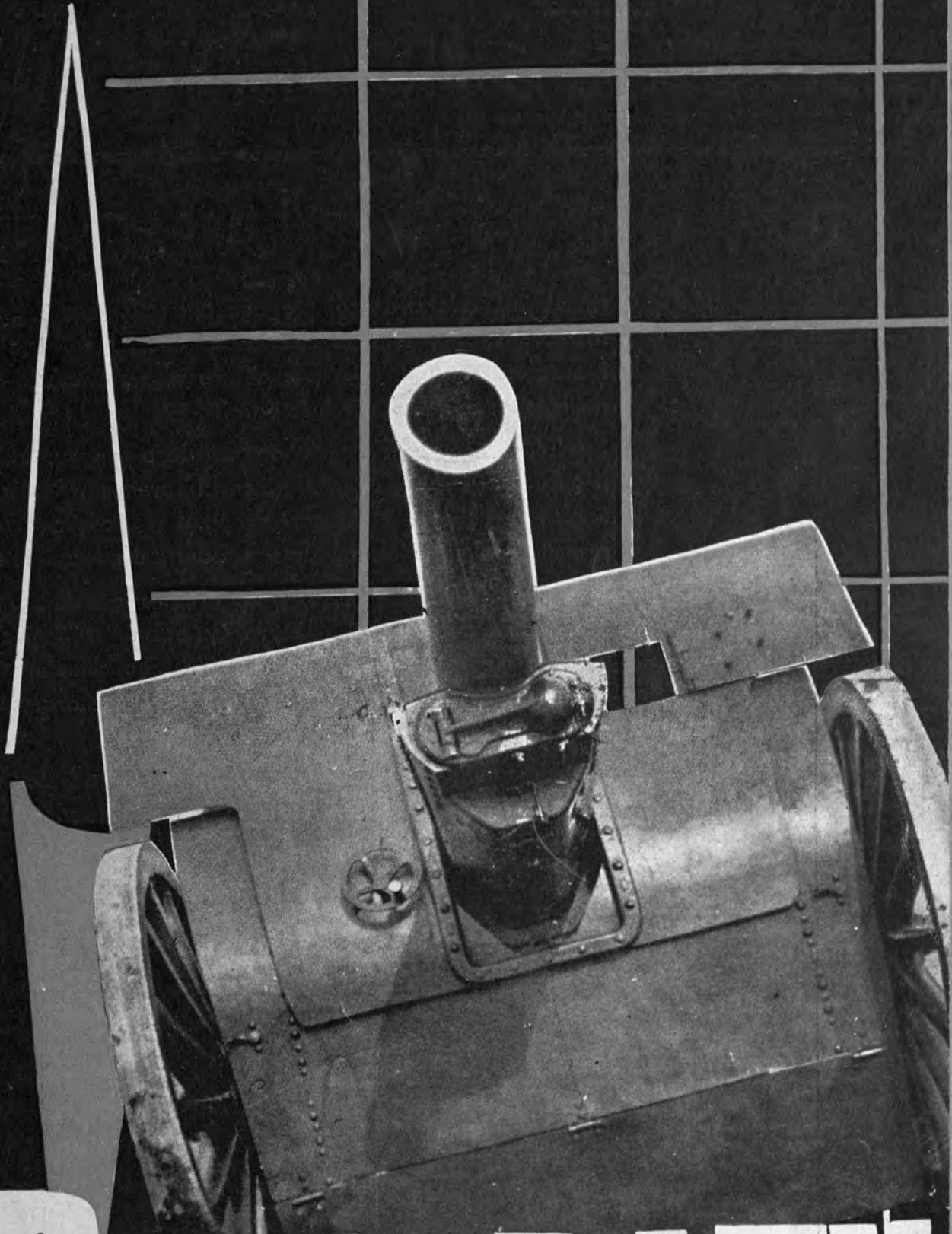


N

NR. 13



POD CHORĄŻY

Składajcie ofiary na Naczelny Komitet Uczczenia
Pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego
Konto P.K.O. 1313

FOTOGRAFOWIE UWAGA!!!

Redakcja „Podchorążego” pragnąc zachęcić wszystkich Kolegów Fotografów do wykonywania większej ilości dobrych zdjęć z życia wojskowego i związać z Nimi trwałą współpracę, wprowadziła stałe premjowanie najlepszych z nadesłanych fotografii.

Spośród zdjęć nadesłanych do każdego numeru, kilka najlepszych lub najciekawszych będzie nagrodzonych premją w wysokości od 2 zł. do 5 zł. Fotografie te będą zamieszczane w „Podchorążym”, a o przyznaniu premji Redakcja stale będzie zawiadamiać na tem miejscu.

Przy kwalifikowaniu fotografii do premji (i odpowiedniej jej wysokości) brane będą pod uwagę zalety artystyczne i techniczne zdjęcia, pomyślność ujęcia tematu, sam temat i jego aktualność, oparte w pierwszym rzędzie na przeżyciach żołnierskich podchorążych zarówno w polu, w koszarach, jak i... wogóle wszędzie.

Zdjęcia powinny posiadać wymienione na odwrocie nazwisko i przydział wojskowy autora. Przyznana premja będzie przesłana w ciągu 10 dni od daty ogłoszenia jej przyznania.

Koledzy! Zachęcamy Was do stałej i bliskiej współpracy z Redakcją. Zareagujcie żywo i obficie na nasze wezwanie.

**Ze względu na zbliżające się
ŚWIĘTA WIELKANOCNE**

**n a s t ę p n y n u m e r
„P O D C H O R A Ż E G O”
u k a ż e s i ę w t e r m i n i e
p r z y s p i e s z o n y m , z a k i l k a d n i**

PODCHORĄŻY

ORGAN SZKÓŁ PODCHORĄŻYCH

Nr. 13(86)

1 KWIETNIA 1936 R.

ROK V

POPZEZ SZPRYCHY

fol. Nowak



ZWYCIĘSTWO ORĘŻA - WYKŁADNIKIEM NASZYCH MORALE

Drogą analizy wojen rozegranych już na arenie dziejów, można dojść do wniosków, które w sumie dadzą obraz przyszłej wojny, czyli tego zjawiska, za którego przebieg w dużej mierze bierzemy na siebie odpowiedzialność.

Sposób przygotowania się do wojny, zależy od tego, czy będzie ona krótka, czy długotrwała. Historia podaje nam szereg przykładów wojen krótkotrwałych, prowadzonych gwałtownymi uderzeniami, a polegających na uderzeniu na główne siły nieprzyjaciela i rozbiciu ich w jednej głównej bitwie. Przykładów takich dał wiele Napoleon, np. podbijając w trzy tygodnie prawie całe Prusy (1806 r.); również kampanja roku 1870 miała przebieg akcji intensywnej lecz krótkiej, doprowadzającej szybko do definitywnych rozstrzygnięć.

Doświadczenia tej wojny, zrodziły przed wojną światową (wbrew opinii marszałka Moltkego) pogląd społeczeństw, że i przyszła wojna musi być krótkotrwała. Niemcy przyjęły tę opinię za swój punkt wyjścia i postawiły w roku 14-tym wszystko na jedną kartę, licząc na rozstrzygnięcie wojny z Francją przez jedno mocne uderzenie, mające ograniczyć kampanję wojenną do kilku zaledwie tygodni, poczem dać decydujące zwycięstwo.

Lecz olbrzymie armje 14 roku posiadały w swym składzie zbyt duży procent rezerwistów, t. j. masy nieprzygotowane moralnie do przetrwania trudów wojny i trudne do dowodzenia.

W tych warunkach nie mogło być mowy o wykonaniu szybkiego, brutalnego manewru, będącego knock-outem dla przeciwnika. Dlatego dezorientowane i rozbite wojska, wbrew początkowym zamiarom dowództwa ustabilizowały się, stając okopane, oko w oko z nieprzyjacielem. Tak rozpoczęła



Do przeglądu

fol. Kożan

się wojna na przetrzymanie, próba potęgi bogactw naturalnych i przemysłu.

Mimo tego świeżego i jaskrawego przykładu, i dzisiaj częste są głosy, że przyszła wojna nie może trwać długo, gdyż istnieje ogólna do niej niechęć oraz przekonanie, że łatwo może się przerozdzic w śmiertelny bój o byt grozący zupełną zagładą, biorącym w niej udział narodom.

Szczególnie kraje słabsze gospodarczo i przemysłowo, muszą dążyć do jaknajszybszego rozstrzygnięcia narzuconej im wojny. — Szybkiemu natarciu sprzyja nowoczesna technika, umożliwiająca przetrzucanie transportów i zmotoryzowanych armij; ruchliwość czołgów i współpraca wojsk powietrznych. — Traci jednak na tem łatwość obrony.

Zatem teraz jak i przed rokiem 14-tym, trudno przewidzieć, czy przyszła wojna przyjmie formę szybkich działań, czy potrwa długo.

Do rozstrzygnięcia wojny w jej zarodku, prowadzą dwa czynniki: 1-mo druzgocząca przewaga jednej ze stron lub 2-o — zaskoczenie.

Wobec geograficzno-politycznego położenia naszego państwa, o zastosowaniu czynnika pierwszego nie może być mowy; pozostaje zaskoczenie.

Ono rozpada się na: zaskoczenie strategiczne i moralne. Pierwsze będzie funkcją całości naszego zbrojnego pogotowia, pozwalającego na szybką mobilizację wszystkich sił będących do dyspozycji. Z wybuchem wojny, nastąpi rozwinięcie pełni zasobów potencjalnych armji. Ta zdolność do wielokrotnego potęgownia sił zbrojnych w krótkim czasie, jest zasadniczym rysem systemu wojskowego doby dzisiejszej.

Podwaliną tego systemu, jest armja stała, nie-liczna, lecz umiejająca dostosować do swych ram szerokie masy rezerw. Odpowiedzialność za wychowanie obywatela-żołnierza obciąża nasze sumienie. Aby się wywiązać z zadania, musimy zwracać państwu obywateli lepszych niż byli w chwili, gdy nam na wyszkolenie zostali oddani. Prócz wyszkolenia, musimy im dać silne podstawy moralne i społeczne. Żołnierz wychodzący z naszych rąk, musi być obywatelem zdrowym fizycznie i duchowo. Długie lata naszej pracy, muszą postawić rezerwistę na poziomie, jak najmniej odbiegającym od poziomu armji stałej, tak pod względem wyszkolenia, jak moralnym. A poziomu tego nie osiągniemy, gdy poprzestaniemy na szkoleniu rezerw w czasie ćwiczeń. Musimy wejść w społeczeństwo, musimy wreszcie przełamać lody zastygłe w czasach niewoli, a dzielące naród od armji. przekonać go, że jesteśmy jego częścią.

Wypełnić te anomalje, natomiast osiągnąć jaknajdalej idącą jednolitość moralną narodu i armji, jest jednym z naszych pierwszych zadań. Aby się z niego wywiązać, musimy wykazać swą wartość umysłu i ducha, musimy zasadniczo zmienić opinię społeczeństwa, przez ciągłe okazywanie się w dodatniem świetle.

Gdy tego dokonamy, łatwiej i szybciej pójdzie szkolenie rezerw, uświadomienie narodu i usprawnienie go do mobilizacji, a co za tem idzie, osiągniemy możliwość strategicznego zaskoczenia.

Jak możemy wpłynąć na zaistnienie zaskoczenia moralnego?

Polega ono na tem, że nieprzyjaciel spotyka się z wojskiem znacznie lepiej wyszkolonem i silniejszym duchem, niż się tego spodziewał.

Należy przypuszczać, że przyszła wojna będzie wymagała od żołnierza niezwykle ciężkich prób, żelaznych nerwów i stalowej woli. Nowoczesna walka, będzie wymagać od żołnierza daleko większej odwagi i bojowej sprawności niż dotychczas.

Jednocześnie dziś więcej niż kiedykolwiek, ma zastosowanie maxyma Napoleona: «na wojnie siła moralna tak się ma do fizycznej, jak trzy do jednego».

W tych jędrnych, w matematyczną formę ujętych słowach, podał genjusz wojny zasadę, która ma nam być myślą przewodnią, przez cały czas służby.

Cheąc pomnożyć zastępy wojsk, pomnożmy ich wartości moralne.

Wychowanie intelektualne armji, musi opierać się na oficerze, gdyż on jest w armji tem, czem rozum w organizmie człowieka, a zatem czemś co dyktuje wszelkie czyny i za nie odpowiada.

Jako jednostka przez państwo do dowodzenia przeznaczona, jest stale obserwowany przez swych podkomendnych, szukających w nim bądź przykładu, bądź też chcących podchwycić jego przywary, aby się tem posłużyć przeciw ewentualnej surowości przełożonego. Ten fakt musimy wykorzystać, jako ważny atut wychowawczy.

Będziemy zawsze na oczach swych żołnierzy, a ich wzrok będzie w nas wlepiony czy to w czasie zajęć codziennych, czy w szczytnych niebezpieczeństwach czasu wojny. Siłą rzeczy nasza postawa wyrzeje piętno na ich duszach. Musimy przeto świecić przykładem w czasie pokoju i w czasie wojny gdy będziemy „pierwsi w natarciu, a ostatni w odwrocie”.

Oficer musi pobudzić do życia myśli, jak w le-targu uspione, drzemające w mózgach żołnierzy. Zmusić te mózgi do myślenia, a potem przejść do kształtowania duszy, to droga do wychowania żołnierza, do urobienia człowieka świadomego, rozumiejącego intencje wydanego rozkazu. Osiągnięcie tego poziomu, jest niewątpliwie bardzo trudne i wymaga dużego zapasu pojęć i zdolności wychowawczych.

O
zmiernych



fol. Do-
bromirski

Oficer powinien dużo z żołnierzami rozmawiać i to jaknajwięcej, bez wchodzenia na katedrę. Taka poufała rozmowa, w danej chwili, przy sposobności, pozwala najlepiej wytłumaczyć jak postępować aby przynieść z siebie najwięcej korzyści w czasie wojny i jak być dobrym obywatelem. Parę słów dobrze odczutyh a wypowiedzianych z przekonaniem, robią większe wrażenie, niż długie przemowy.

To co oficer podaje musi być jasne i tak proste, aby przemawiało do duszy każdego człowieka, a zarazem tak mocne, aby wykluczało zboczenie z wytyczonego kierunku.

Styczność oficera z żołnierzem, musi być jaknajściślejsza. Poza służbą, należy stać się jego zaufanym starszym kolegą, aby przez ten bliski stosunek wzbudzić całkowite zaufanie. Nie można dopuścić, aby żołnierz wychowywał wyłącznie często nieprzygotowany do tego dostatecznie podoficer. Raczej zdać na niego więcej wyszkolenie, lecz wychowanie zachować w zupełności dla siebie. Z tej bezpośredniej bliskości wpoić dogmatyczność rozkazu, nauczyć wykonywać go rozumiejąc myśl, która go do życia powołała, wszak prawdziwa karność łączy bierne posłuszeństwo z posłuszną inicjatywą.

Gdy rozpatrzmy jakikolwiek rozkaz, to zauważymy, że między formą jego wydania, a rzeczywistymi warunkami jego realizacji, istnieje zawsze pewien przedział, który pozwala na takie czy inne interpretowanie rozkazu. Zatem żołnierz posłusz-

ny, musi własną intuicją dojść do pewnych uzupełnień, aby spełnić rozkaz po myśli przełożonego. Tak szkoląc, wykorzysta się zasób inicjatywy własnej żołnierza i jego przedsiębiorczość, w kierunku równoległym do myśli przewodniej rozkazu.

Potem rzeźbić w duszy prostego chłopka z Polesia, miłość Ojczyzny i jej zrozumienie. Gdy się go podniesie do poziomu Polaka, tworzyć z niego obywatela-państwowca.

W ten sposób z ciemnej masy, podatnej tak na złe jak na dobre, urobi się twardy, świadomy żołnierz-obywatel, którego poprowadzi się w bój nie poto, by walczył, lecz aby zwyciężał.

Chęcią zwycięstwa, musi przesiąknąć cała armja, bo dopóki to nie nastąpi, a potrzeba walkimi będzie dla żołnierzy czemś bliskim i zrozumiałym, dopóki nie będą walczyć z takim samym zapalem poza granicami państwa jak w jego granicach, gdy nieprzyjaciel z dymem puszcza ich chudobę, dopóty nie możemy i marzyć o mocarstwowości państwa, bo jego wojsko nie wzniesie się wyżej poziomu gromad powstańczych.

Gdy z tym urobionym żołnierzem znajdziemy się w boju, dopiero część naszej pracy będzie wykonana. Wtedy zaczniemy dźwigać przypadającą nam w udziale odpowiedzialność za wynik walk.

Zacniemy dowodzić, co w naszym zakresie znaczy, nawet pomimo największych niebezpieczeństw działać tak, aby dobrze spełnić zadanie. Panować nad sobą, wydawać rozkazy przemyślane i stanowcze. Przygotować podległych nam żołnie-

Toruń SPART.

ARTYLERJA W LEGJONACH

Długo musieli czekać Polacy na okazję, ażeby porwać za broń dla oswobodzenia kraju. Okazją do wskrzeszenia Polski był wybuch wojny światowej. Z chwilą, kiedy państwa centralne wypowiedziały wojnę Rosji, Polacy zaczynają gorączkowo organizować i uzgadniać działalność wszelkich związków dla skierowania ich do czynnej walki o niepodległość Polski. Rezultatem tych przygotowań było stworzenie pierwszego polskiego oddziału, pod dowództwem Józefa Piłsudskiego, który przeszedł w nocy z dnia 5 na 6 sierpnia 1914 r. „granicę” rosyjską. W dniu tym zapoczątkował się bój na śmierć i życie dla oswobodzenia Polski — uwieńczony powstaniem niepodległego Państwa Polskiego.

W artykule tym chciałem zwrócić uwagę na to, jaką rolę odegrała artylerja w powstaniu niepodległego Państwa Polskiego.

W pierwszym okresie wojny światowej polskie oddziały walczyły pod auspicjami władz austriackich. Z ich też rąk otrzymują gros wyposażenia

rzy: 1) moralnie, czyli dodać serca, wiary i otuchy; 2) intelektualnie, czyli wyjaśnić w zarysach położenie taktyczne, a dokładnie zadanie do wykonania; 3) fizycznie, to znaczy dostosować stopień wysiłku do potrzeby chwili i 4) materialnie, co oznacza dostarczenie żołnierzowi tego wszystkiego, czego potrzebuje w danej chwili. Do dobrego dowodzenia, dochodzi wywołanie swobodnego nastroju, pozwalającego być niewrażliwym na orkiestrę pękających pocisków armatnich i nieprzyjacielskich C.K-emów, stworzenie atmosfery normalnej pracy na placu ćwiczeń czy w czasie ostrego strzelania.

W koniecznym wypadku zmusić do posłuszeństwa, to znów wspierać podwładnych całą swą spokojną energją, wszystkimi zasobami inteligencji i wiedzy, a porywem własnego serca, wywołać zapal i żądę zwycięstwa.

Gdy tak okażemy się żołnierzom, to urośniemy w ich oczach na olbrzymów; nie będzie dla nich innych dowódców, my będziemy panami ich serc, na nasz zew oddadzą życie.

Nadejdzie chwila, że państwo dostarczy nam amunicji, sprzętu, środków technicznych i lokomocji, my zaś oddamy mu zastępy takich obrońców — będziemy pewni, że nigdy nie powtórzy się rok 1772, natomiast Polska okryje się nową sławą Grunwaldu, Wiednia, czy roku dwudziestego.

Dopiero po uzyskaniu takich efektów pracy, będziemy mogli z dumą stosować do siebie nazwę „oficerów”, bo przecież „oficer” etymologicznie biorąc, oznacza człowieka pełniącego swą powinność.

Pchor. W. Lipiński.

i materiału wojennego (dawno już przez nich samych nieużywanego). W ten sposób po licznych prośbach i naleganiach ze strony dowództwa polskiego otrzymały legjony stary, dawno już wycofany i niezdatny prawie do użytku sprzęt 70 mm. wz. 1875. Strzelało się z dział prochem dymnym, działa nie posiadały zupełnie oporo-powrotnika, co powodowało często przewracanie się dział po wystrzale. Ponieważ nie było przodków, musiano je dorobić, te jednak szybko się zniszczyły. Musiano więc przyczepiać działa do wozu i tak przewozić.

W ten sposób sformowano 5 bateryj, rozdzielonych na dwa dywizjony. Baterje 1, 2 i 3, jako I dywizjon, skierowane zostały z II brygadą na Węgry; baterje 4 i 5, jako II dywizjon, przydzielono do I brygady. I dywizjon, z którego 2 baterja pod dowództwem ś. p. Konrada Kosteckiego, pierwsza od czasów Bema oddała strzał armatni do Moskale przy drodze z Mołotkowa do Bani na północ od Nadwórnej, wszedł do walki dnia 26.X.1914. Mi-



Artylerja I-ej Brygady

mo niepomysłnego stanu rzeczy została wcielona artylerja do czynnej już na froncie grupy gen. Durskiego dnia 14.X.1914 r. W dniu tym zawagonowano dwie baterje I dywizjonu w Kiralyihaza i przetransportowano do stacji Taracköz, skąd już marszem pieszym miały dołączyć do brygady w Königsfeld. Trzecia baterja pod dowództwem Kaspra Wojnara pozostała w Kiralyihazie, gdyż zabrano jej konie i rozdzielono pomiędzy baterje 1 i 2-gą, a Wojnarowi kazano czekać na uzupełnienie, które otrzymał ostatecznie dopiero z początkiem grudnia.

Lecz dowódca I dywizjonu nie długo cieszył się dwiema baterjami. Ledwie bowiem baterje wypoczęły po pierwszym marszu, a już nadszedł rozkaz, wzywający jedną baterję do gen. Schreitera. W dniu 21.X baterja 1-sza pod dowództwem ppor. Nowaka odmaszerowała do gen. Schreitera do stacji Taracköz.

Od tej chwili maszerują i biją się oddzielnie obie baterje. Baterja por. Kosteckiego, aż do przebrojenia pozostaje w grupie gen. Durskiego i w ścisłym związku z piechotą II brygady legjonów polskich. Odbija kampanję nadworniańską oraz walki do połowy grudnia 1914 r. Wystrzeliła w tym czasie cały swój zapas granatów i szrapneli i potopiła gdzie można było, cały zapas nieużytecznych kartaczy i zużyła kompletnie swoje przestarzałe działa. Odchodzi dnia 10.XII.1914 r. do Felixdorf pod Wiedniem na przebrojenie. Baterja 1-sza, do 16.XI jako całość, potem podzielona na 2 plutony, walczy w Karpatach wraz z oddziałami armji austriackiej; II pluton pod dowództwem Łapickiego do końca grudnia 1914 r., I pluton pod dowództwem Wieleżyńskiego do 24.I.1915 r. zanim uporał się definitywnie ze swoim zapasem amunicji i swojemi „gratami” armatniami. W tym dniu kończy się żywot 1-szej baterji Nowaka, gdy do walki wraca już baterja 2-ga z armatami 37 mm. pod dowództwem Maciejowskiego i Gosiewskiego i gdy poraz pierw-

szy wchodzi w akcję z armatami starymi, baterja 3-cia Kaspra Wojnara.]

Pod koniec stycznia rozegrała się pamiętna walka nocna pod Rafajłową, a udział w niej brała baterja 1-sza, reprezentowana przez I pluton pod dowództwem Wieleżyńskiego. Po kilkudziesięciu strzałach plutonu zamilkła artylerja nieprzyjacielska i pod naporem piechoty Moskale zaczęli się cofać. Z tego stanowiska pluton Wieleżyńskiego, wśród radosnych okrzyków obsługi, oddał ostatnie strzały z dział starego typu, zużywając resztki zapasów amunicyjnych do tych dział.

Dnia 8.XII.1914 ładuje się 3-cia i ostatnia baterja I dywizjonu, w Nagy-Szölös, po przybyciu do Taracköz, dostaje wozy i maszeruje do Königsfeld, gdzie melduje się u dowódcy dywizjonu. Dnia 12.I.1915 r. baterja wymaszerowała z Alzo-Szinever, a w dniu 17.I.1915 r. otrzymuje wiadomość, że Moskale znajdują się pod Kirlibabą. Naprzeciw nim wyrusza 2-gi pułk pod dowództwem płk. Zielińskiego z Borsa, a z nim 3-cia baterja. Podczas walki komendant baterji ppor. Wojnar otrzymuje od płk. Zielińskiego rozkaz podjechania klusem pod linię kolejową i oddania kilkunastu strzałów granatami na wzgórze lesiste, gdzie miały się ukazać oddziały nieprzyjacielskie. „Działa trzymano na sznurkach, gdyż w przeciwnym razie po oddaniu strzału, armatka stoczyłaby się do przydrożnego rowu”. Silny jednak ogień karabinowy nieprzyjaciela utrudniał pracę baterji, tak iż dowódca plutonu osobiście wykonywał czynności działonowego, celowniczego i zamkowego, porywając swoim przykładem obsługę do dalszego działania w niesłabnącym ogniu nieprzyjaciela.

Za to, że tak długo musiała czekać na możliwość wzięcia czynnego udziału w walkach, doczekała się baterja tego, iż w swojej trzydniowej bitwie oddała przeszło dwa razy tyle strzałów co baterja

2-ga starego wzoru w ciągu całego żywota, i że potem najkrócej czekała na sprzęt nowy i pierwsza wyszła w pole z nowymi armatami 8 cm. wz. 05.08.

Z początkiem roku 1915 1-sza i 2-ga bateria przebywały w Marmaros-Sziget i Taracsköz, gdzie je nanowo organizowano. Wkrótce przybyła tam również 3-cia bateria. Tu zorganizowano z baterji 1-szej i 3-ciej dawnych baterji 3-cią, wyposażoną w działa 8 cm., 2-ga bateria otrzymała działa 37 mm. W ciężkich walkach pod Tlomacznem, Niżnowem, Rarańczą ucierpiał 1-szy dywizjon bardzo wiele, tak iż w bitwie pod Bałanutówką 3-cia bateria nie mogąc obronić pozycji, wycofała się, zniszczywszy uprzednio sprzęt. Na wiosnę 1916 r. pozostała 2-ga bateria, przeszła w okolice Piotrkowa, gdzie otrzymała nowe działa 8 cm. przeorganizowała się na dwie baterje, z których 1-sza bateria pod dowództwem por. Bolda wraz z 6-tym pułkiem legjonów brała udział w walkach pod Wielkim Miedwiczem i Kostiuchówką, a w listopadzie nad Styrem; 2-ga bateria pod dowództwem por. Lopickiego po postoju w Kowlu na początku roku 1916 również przeszła nad Styr.

Drugi dywizjon składający się z 4-tej baterji pod dowództwem kpt. Śniadeckiego i 5-tej pod dowództwem kpt. Rózenapoczyna czyni przygotowania do wymarszu na front i po uprzednim przeszkoleniu, umundurowaniu, uzupełnieniu sprzętu i zaopatrzeniu się jest gotów do wyruszenia na front. W końcu października otrzymuje dywizjon rozkaz do zawagonowania w Bogumiłowicach, skąd baterje skierowane są przez Kraków i Szczakową do Królestwa. W dniu 2.XI 1914 r. dywizjon minął granicę Królestwa, a w nocy z 2—3.XI wyładował się w Wolbromiu, skąd nastąpił pierwszy marsz na pole walki. W Tuchołowie dywizjon wchodzi w skład oddziałów Piłsudskiego i dalszy marsz na front kontynuuje razem z legionami. W dniu 8.XI 1914 r. staje w lasu pod Krzywopłotami. Rozkaz Komendanta wydany 9.XI, wciela dywizjon do oddziału pozostającego pod Krzywopłotami pod dowództwem Trojanowskiego. Na tym terenie rozegrać się miała sześciodniowa walka z nieprzyjacielem. W walce tej wziął chrzest ogniowy II-gi dywizjon artylerji Legjonów Polskich.

O zmroku walka skończona, baterje zjeżdżają na tyły do lasu i rozkładają biwak. Po mroźnej i śnieżnej nocy, spędzonej w lesie, wracają baterje świtem dnia 18.XI na dawne stanowiska. O godz. 15 dywizjon wymaszerował do Pomorzana i stał rozmieszczony na wsi do dnia 24.XI. W dniu tym II-gi dywizjon rozpoczyna nowy marsz do Białej, a następnie po krótkim wypoczynku i zawagonowaniu, następuje wyjazd z Makowa w kierunku Mszany Dolnej. W dniu 4.XII bataljon przygotowuje się do marszu szosą przez Limanową i Koniny. Wreszcie po

chlubnej walce nocnej pod Rdziostewem z 5 na 6.XII przejściach pod Marcinkowicami przeżywają bat. 7.XIII dzień największej swej chwały, a zarazem najradośniejszy, bo dzień rozstania się ze sprzętem starym i muzealnym oraz zapowiedź otrzymania sprzętu artyleryjskiego nowożytnego. W dniu 15.XII wyjeżdża kilku oficerów i część obsługi do Wiednia po nowy sprzęt artyleryjski. Po skutecznieniu tego baterje zaopatrzone w nowe działa austriackie 80 mm stanęły w lutym nad Nidą i tam z I brygadą walczyły do maja. Brały czynny udział w walkach pod Przepiórkowem, Tarłowem, Urzędowem, Rośną, wywierając na ich przebieg decydujący wpływ, za co dywizjon otrzymał najwyższe uznanie. Następnie wyczerpany poszedł na odpoczynek do Kowla, a stamtąd nad Styr. W sierpniu 1915 roku zostaje utworzona 1-sza bateria konna pod dowództwem por. Knoll-Kownackiego dla wspierania kawalerji Beliny, która walczyła do listopada, poczem maszeruje nad Styr.

Tak więc wszystkie baterje artylerji legjonów znalazły się nad Styrem i tu utworzono z nich pułk, którego dowództwo powierzono mjr. Brzozie. Dywizjonami dowodzili: 1-szym kpt. Śniadowski, II-gim — kpt. Knoll-Kownacki. Na wiosnę 1916 r. dowództwo pułku przystąpiło do organizacji baterji haubic. Sprzęt dała Austrija, a gdy w lipcu nad Styrem zavrzały walki, bateria haubic brała w nich udział. W czasie ofensywy Brusilowa, po cofnięciu się frontu na linję rzeki Stochód, dzielnie spisywała się artylerja Legjonów walcząc w rejonie Rudki Miryńskiej i Dubniak. Były to jedne z ostatnich walk tej artylerji, bo w jesieni 1916 r. pułk razem z Legjonami pomaszerował do Baranowicz. Z Baranowicz artylerję przeniesiono do Królestwa, gdzie poczęto ją szkolić na wzór niemieckiej, gdyż miała tworzyć kadry przyszłej artylerji polskiej, podlegającej pod względem wyszkolenia i zaopatrzenia Niemcom. Po aresztowaniu i wywiezieniu Komendanta, Józefa Piłsudskiego do Magdeburga, Legjonom i ich artylerji kazano złożyć przysięgę na wierność Austrii i Niemcom. Celem pozbawienia żołnierzy dowódców i osłabienia w nich ducha uwieziono ich w Benjaminowie i Szczypiornie. Z reszty pułku stworzono „Polski Korpus Posiłkowy”. Służba w tym charakterze nie odpowiadała Polakom, dlatego prosili o zwolnienie i wtedy to zostali rozproszeni po różnych pułkach artylerji austriackiej. Tylko nieznaczna ilość pozostałych pod dowództwem płk. Zagórskiego pozostała aż do ogłoszenia traktatu brzeskiego. Wtedy korpus ten postanowił przedrzeć się przez front austriacki. Ci, którym przedsięwzięcie to udało się, weszli w skład II-go Korpusu Polskiego w Rosji. Większość została jednak rozproszona po obozach w Hust i Marmaros — Sziget. Z tą chwilą pułk przestał istnieć.

ARTYLERJA W ROKU 1920

Na gruzach rozpadającego się kolosu rosyjskiego, uschylku wojny światowej, rozpoczęła się akcja formowania niezależnego Wojska Polgo. Siłą, która w tym kierunku zwróciła myśl prawdziwych Polaków, była gorąca chęć i niezwalczony żądniemi przeszkodami zapal do stworzenia samodzielnego Wojska Polskiego dla walki z najpotężniejszym naszym wrogiem po upadku Rosji — Niemcami. I mimo, że armja okupantów centralnych odnosiła wtedy swoje największe sukcesy, chciała a potężną swoją łapą dźwierzac dalekie na wschodzie przestrzenie olbrzymiego imperjum rosyjskiego, przecie niezwytyczony duch nielicznych oddziałów polskich pcha je do takich wysilków, jak przejście wczesną wiosną 1918 r. pod Rarańczą linji frontu przez II-gą Karpacką Brygadę Legjonów, nazwaną chlubnie „żelazną”, po stoczeniu bitwy z armją austriacką. Połączywszy się zaś z tworzącym się na wschodzie II-gim Korpusem Polskim, kiedy w efekcie toczących się długich pertraktacyj ówczesnych politycznych władz polskich z przedstawicielami armji niemieckiej na Ukrainie, otrzymuje rozkaz natychmiastowego roz-

brojenia się, II Korpus Polski, stacza 11 maja 1918 r. pod Kaniowem bój na śmierć i życie, ratując honor żołnierza polskiego i składając przed całym światem krwawy protest przeciwko przemocy okupantów. Korpusy Polskie na wschodzie po długim tułactwie i poniewierce po rozległych przestrzeniach syberyjskich wracają do Polski i tu wydatnie zasilają armję polską, tworzoną przez zwolnionego z Magdeburga Komendanta Piłsudskiego. Powstała w ten sposób młoda Armja Polska już w zaraniu swego istnienia w wyniku faktów dziejowych, poddana zostaje wielkiej próbie, t. j. wojnie-bolszewickiej 1919 i 1920 roku.

Jak się z tego zadania dziejowego wojsko polskie wywiązało, wiemy doskonale; powiem krótko, że spełniło swój obowiązek zaszczytnie. Nas zainteresuje bliżej kwestja roli artylerji polskiej w tej wojnie.

W działaniach wojennych nad dolną Wisłą w początkach sierpnia 1920 r., artylerja w poszczególnych bitwach oddała mniejsze lub większe usługi. W boju pod Mławą 6-ta bateria 16 pułku arty-



Na pozycji

fol. Dobromirski

lerji polowej zajęła stanowiska na zachodnim krańcu Mławy; posiadała ona 4 działa polowe niemieckie, lecz spowodu niezorganizowanych taborów i elementów wywiadu artyleryjskiego udziału w walkach nie brała. Odwrot oddziałów polskich z miasta w kierunku na Działdowo osłaniał pociąg pancerny „Wilk”, powstrzymując ścigającego npla ogniem swych dwóch dział i karabinów maszynowych. W boju pod Działdowem w dniach 11, 12 i 13 sierpnia ta sama bateria przygotowała stanowiska ogniowe w pobliżu dworca kolejowego w Działdowie, skąd kilkakrotnie wspólnie z karabinami maszynowymi i kompanją szturmową powstrzymywała ataki przeciwnika. W bitwie pod Brodnicą artylerja w sile dwóch baterji 214 p. artylerji polowej wspomagała pułki piechoty. Pociąg pancerny „Wilk” i drugi zaimprovizowany z parowozu i dwóch wagonów towarowych obitych blachą i uzbrojonych w karabiny maszynowe, t. zw. „Wilczek” wyruszyły naprzód dla uzyskania wiadomości o ugrupowaniu nieprzyjaciela; odwód zaś stanowiła 6-ta bateria 16 pułku artylerji polowej. Pociąg „Wilczek” uszkodzony ogniem artylerji sowieckiej musiał się wycofać, natomiast wsparte ogniem artyleryjskim, pociągu pancernego „Wilk” oddziały piechoty posuwały się szybko naprzód, by zdobyć wieś Niewierz. Na cofające się pod naciskiem 215-go pułku ułanów i pociągu pancernego „Wilk” oddziały sowieckiej piechoty zwróciły swój ogień obie baterje 214-go pułku artylerji polowej, co w znacznej mierze przyczyniło się do zdobycia Brodnicy i odrzucenia nieprzyjaciela na wschód.

Przypatrzmy się szkolei walkom o przeprawę na dolnej Wiśle. Mimo motorówek flotylli wiślanej które patrolowały rzekę głównie na odcinku Płock — Włocławek, płynący z darami amerykańskimi z Torunia do Modlina holownik „Lubecki” został pod Bobrownikami zdobyty przez nieprzyjaciela starającego się sforsować Wisłę. Drugi natomiast statek „Moniuszko” uzbrojony w małokalibrowe działa i dwa ciężkie karabiny maszynowe wszczął walkę ogniową z nieprzyjacielem celem przedostania się do Włocławka; uszkodzony jednak stanął na mieliźnie na lewym brzegu Wisły. Na pomoc w obronie przeprawy przybyła wysłana z Torunia przez gen. Haasera artylerja w sile pół baterji polowej, która wielce przyczyniła się do uniemożliwienia bolszewikom przeprawy. W walce na przedmościu Włocławka 4 bateria 4-go pułku artylerji polowej zajęła pozycje na lewym brzegu Wisły na zachód od Włocławka. Gdy lewe skrzydło przedmościa zostało odsłonięte wskutek cofnięcia się plutonu pierwszego 4-go pułku artylerji polowej d-ca przedmościa skierował tam pierwszy pociąg (pancerny) „Kaniów” z 5 ciężkimi karabinami maszynowymi, który zmusił przeciwnika do odwrotu i umo-

żliwił zajęcie utraconych pozycji. W walkach o Płock artylerja reprezentowana była przez baterję 15-go p. a. c'u, baterję konną 4 d. a. k'u i baterję ciężkich haubic. Ogniem kombinowanym bat. ciężka wraz z plutonem artylerji konnej szerzyła spustoszenie w głównych pozycjach bolszewickich w folw. Trzepotowo; w Rogozinie bateria polowa oprócz wspomaganie całej akcji ofensywnej zachując nieprzyjaciela niezwykle celnym ogniem zmusiła do odwrotu trzy szwadrony, ostrzeliwane również przez baterję ciężką, zmieniając wprost błyskawicznie kierunek i cel strzału. Bateria polowa zmusiła później swym ogniem artylerję nieprzyjacielską i gniazda karabinów maszynowych do milczenia, co w efekcie umożliwiło cofanie się w porządku ludności cywilnej i oddziałów wojskowych przez most na lewy brzeg Wisły. Dnia 19 sierpnia ogień artylerji spotęgowano dwukrotnie do siły ognia huraganowego tak, iż bolszewicy około godz. 11-ej w popłochu rzucili się do ucieczki, zostawiając kilkaset trupów i rannych, a dzięki równoczesnemu ogniom plutonu 2-giej baterji konnej na barykady, karabiny maszynowe i stanowiska bolszewickie piechota polska odzyskała miasto. Dla zobrazowania całokształtu działalności artylerji dodać należy, że wszystkie trzy baterje po raz pierwszy były w ogniu pod Płockiem, a spełniły swoje zadanie tak chlubnie, że zasłużyły sobie na pochwałę d-cy grupy gen. Osikowskiego.

W bitwie pod Warszawą, a ściślej mówiąc w walkach pod Radzyminem artylerja w fortyfikacjach pierwszej linii obronnej na przedmieściu wschodnim Warszawy była dość silnie reprezentowana; na całym przyczółku znajdowało się około 40 baterji. Jednakże brak punktów obserwacyjnych spowodowany płaskością terenu, oraz nasze młode lotnictwo niezdolne jeszcze do kierowania ogniem artylerji spowodowały, że przez cały czas stała ona bezczynnie. W bitwie o Wólkę i Mokre 10-ta dywizja piechoty posługiwała się ogniem tylko dwóch baterji; w czasie gdy ta sama dywizja stała w Jabłonie jako odwód 1-ej armji, artylerję dywizyjną skierowano na pozycje wzdłuż rzeki Bugu — Narwi. Pamiętnego dnia 15 sierpnia 1920 roku ofensywa 1-szej armji doprowadziła do zajęcia Radzymina, gdzie artylerja uzyskawszy doskonały punkt obserwacyjny na wieży, wysunęła się wprzód skutecznie ostrzelując nieprzyjaciela.

O działaniach artylerji w różnych fazach bitwy warszawskiej przy współdziałaniu z rozmaitemi dywizjami w poszczególnych bojach i walkach można tu jeszcze dużo napisać. Szczupłe jednak ramy tego artykułu nie pozwalają na to. Powiem na zakończenie, że wprawdzie artylerja nasza 20-go

W lesie

roku nie odegrała w zmaganiach polsko-bolszewickich decydującej roli, na co niewątpliwie wpłynęła różnorodność sprzętu artyleryjskiego, oraz brak odpowiedniej jakości i ilości amunicji, niemniej jednak podkreślić należy fakt charakterystyczny, że



fot. Dobromirski

wszędzie tam, gdzie się tylko można było posłużyć tą bronią — wykorzystano ją z jak-najlepszym wynikiem celnym, silnym, a niejednokrotnie i huraganowym ogniem armatnim szerząc wielkie spustoszenie w pozycjach bolszewickich. Włodzimierz.

BARTHEL DE WEYDENTHAL

Jest pytanie o najistotniejszej treści, które nasuwa się każdemu, nietylko noszącemu mundur, ale mniej, lub więcej interesującemu się wojskiem. Kto powinien zostać oficerem?

Washington twórca niepodległych Stanów Zjednoczonych odpowiedział jednym słowem: gentleman. Niestety język polski nie posiada synonimu tego wyrazu, a jego znaczenie w naszym pojęciu daleko odbiega od treści jaką w nim zawiera Anglik, czy Amerykanin. Nie ulega jednak wątpliwości, że Washington, człowiek przedewszystkiem szlachetny klasyfikował ludzi nie według urodzenia, stanu posiadania, ale uważał, że jedynie szlachectwo ducha daje prawo do noszenia miana gentelmana, tem samem mundur oficerskiego, praw i obowiązków z nim związanych.

Generał von Beseler, ongiś gubernator warszawski twierdzi: ten kto ma do tego powołanie. Odpowiedź napozór bardzo prosta, jest paradoksalnie skomplikowaną, a po zanalizowaniu wskazuje się tylko odwróceniem pytania.

Odpowiedź właściwą, niewymagającą komentarzy może dać tylko życie. Przykład człowieka, który o ile nie osiągnął ideału oficera i dowódcy, to w każdym nie daleko od niego odbiegł. Pułkownik Przemysław Barthel de Weydenthal, Borucki, Wolski, Karta. Każde z tych nazwisk ma własną historję, każde otoczone jest chwałą żołnierską, choć wszystkie należą do jednego człowieka. Zanalizowanie systematyczne charakteru jego, zrozumienie pobudek, które nim przez całe życie kierowały, wczucie się w jego psychikę da odpowiedź realną, zmaterjalizowaną w czynach i imieniu.

Jedną z najcharakterystyczniejszych cech Weydenthala to żelazna konsekwencja postępowania, która nie uznawała żadnych przeszkód, żadnych uczuć natury

osobistej, która kazała posuwać się wytyczną drogą nawet wbrew napozór logice i zdrowemu rozsądkowi. Zetknawszy się w szkole z ruchami patriotycznymi oddaje się im całą duszą, zyskując wzajemnie zrozumienie, że jest cel dla którego warto pracować. I od dnia gdy Weydenthal to zrozumiał jest już oficerem, takim iakich chciał mieć w swej armji Washington. Marzy o mundurze. Nie byłby polskim chłopcem gdyby nie chciał zostać żołnierzem, a uczucie to musiało być tem silniejsze wtedy, gdy należał mundur oficera polskiego do rzędu gwiazdek z nieba, o których zawsze się marzy, a nigdy ich nie dostaje. Marzył, ale był zbyt trzeźwy, by przywiązywać do tego jakąkolwiek wagę; zdawał sobie z tego sprawę, że jednak może będzie można je ucieleśnić, ale nie należy czekać z założeniami rękami, a pracować.

I Weydenthal pracuje. W warunkach bardzo ciężkich bo jako Polak wśród Rosjan, czy później Austriaków zdobywa trudną wiedzę artyleryjską poświęcając jej wszystko, nawet możność powrotu kiedykolwiek przed uzyskaniem niepodległości do stron rodzinnych.

Weydenthal jest jako dowódcą i oficer postacią, od której bije courage antique, nie ta odwaga o której mówi Fenelon, że jest najwyższym wybrykiem próżności, nie ta, którą Removgue uważa za pierworodne dziecko tchórzostwa, ale ta która pozwalała mitycznym bohaterom na dokonywanie legendarnych czynów. Weydenthal z wybuchem wojny zostaje oficerem i jest przydzielony do baterji kapitana Śniadowskiego skleconej ze starych, muzealnych armatek. Dzieją się rzeczy dziwne. Postać kapitana maleje, niknie, schodzi na drugi plan, a na jego miejsce wstępuje młodziutki porucznik Borucki. Jest zimny, ostry, słowa uważa za niepotrzebną stratę czasu, za naj-



Pułkownik Barthel de Weydenthal

mniejsze przewinienie karze bezwzględnie. Wydaje rozkazy, krótkie, nie znoszące nietylko dyskusji, ale najmniejszego zdziwienia, czy zaprzeczenia mięśni twarzy — są bezapelacyjne. Weydenthal ma w baterji ludzi w większości inteligentnych, że średniem, lub wyższem wykształceniem, ludzi którzy parę tygodni temu byli rozpolitykowaną bandą, nie znoszącą fizycznie zbyt mocnego autorytetu, ludzior wysokich aspiracjach, którzy nie dziwnego stanowią materiał bardzo trudny i niezawsze wdzięczny. Weydenthal napozór robi wszystko, żeby ich sobie zrazić, zniechęcić. A jednak tak nie jest. On im imponuje. Komuś zaimponować, to to samo co go zwyciężyć. Każdy z nich, choć wszyscy przyszli tu z wolnej, nieprzymuszonej woli dla spełnienia najpiękniejszego obowiązku, skruszenia kajdanów, krępujących Ojczyznę przechodzi chwile, gdy zwykły, prozaiczny strach, każe mu postawić kwestje osobistego bezpieczeństwa na pierwszym miejscu. Weydenthal czuwa na punkcie obserwacyjnym, a do spełnienia zadania, mimo tego, że jest czterokrotnie zasypany granatami. Jest ciągle ten sam.

Kapitan Sniadowski zdaje po pewnym czasie baterję w ręce Weydenthala. Żegna ich, mówi długo, serdecznie o najszczytniejszem zadaniu, o honorze, ambicji, miłości. Ma lzy w oczach. Wszystkim jest przykro, bo wiedzą, że odchodzi od nich prawy człowiek. Występuje Weydenthal, taki jak zawsze. Mówi: „Obejmuję z dniem dzisiejszym baterję. Trzymać się chłopcy mocno. Baterja! Rozejść się!” To wszystko. Ani jednego słowa więcej. A jednak rozchodzą się każdy z nich nosił w sercu to dziwne uczucie, które rodzi się tylko w warunkach wojennych, a które każe żołnierzowi iść pod kule z pełną świadomością, że po trzecim kroku padnie. Fanatyczna, niewytłumaczalna naukowo miłość dla dowódcy, którą niewielu żołnierzy miało szczęście poznać.

To nie było złudzenie, bo już po paru dniach baterja prowadzona przez dowódcę pod Konarami na nacierającą tyraljerę rosyjską daje dowody brawurowej odwagi, bo każdy z nich widząc postać Weydenthala czuje się bezpieczny. Weydenthal pozwala się obecnie poznać jako dowódca... W chwili gdy musi opuścić punkt obserwacyjny, bo baterja jest już poniżej najmniejszego celownika widząc, że natarcie rosyjskie kieruje się na lukę powstałą w sztykach austriackich, wprowadza tam baterję i ogniem nawprost przeważa szalę zwycięstwa na naszą stronę. Inicjatywa, nieprawdopodobna przytomność umysłu i szybkość orientacji. Weydenthal mógł zareagować lub nie. Rozkazu nie otrzymał żadnego, wystarczało posłać meldunek sytuacyjny, bo zadanie jakie bierze na swoje barki może doprowadzić do utraty najcenniejszego skarbu: baterji. A jednak Weydenthal w przeciągu kilkunastu sekund orientuje się zupełnie dobrze w całej sytuacji, z matematyczną ścisłością oblicza wszystkie za i przeciw i inicjuje wspaniałe w założeniu i wykonaniu wypad. Zespolenie tych trzech cech daje, jeżeli jeszcze nie oficera, to w każdym razie człowieka, który po nabyciu pełnej dozy wiedzy teoretycznej będzie pierwszorzędnym dowódcą. Bo na wojnie o naszej wartości nie będzie stanowił w takim stopniu umysł, jak charakter.

Ciągną się długie miesiące i lata wojny. Nazwisko Bonicki zdobyło już stawę żołnierską i zna je każdy legionista. Po uwięzieniu Piłsudskiego w Magdenburgu, Weydenthal przedostaje się przez kruszący się rewolucyjny front rosyjski, na teren Rosji, gdzie z dawnych carskich żołnierzy Polaków tworzą się korpusy, na które szczególną uwagę zwraca Rydz-Śmigły, komendant POW'u. Weydenthal ma pracę dużo trudniejszą niż dotychczas, bo na każdym kroku będzie spotykał poddawiane nogi, wykopane doły, które nieraz trudno wyminać, zwłaszcza o ile się nie zna stosunków lokalnych. A jednak Weydenthal wie, że od jego pracy zależy dużo, może myśli nawet, że o ile zawiedzie, to piękne marzenia

o ojczyźnie niepodległej rozwieją się. To może nawet lepiej, bo taka myśl będzie go stale dopingowała, dodawać hartu i zaparcia się samego siebie dla idei.

Weydenthal, co do którego żywno obawy, że nie doła zadaniu, nie znając warunków, nie orientując się w całości, okazuje się, że jest wspaniałym strategikiem, gdzie znowu na pierwszy plan wybija się przytomność umysłu, szybkość orientacji i odwaga, ale nie ta bojowa, a odwaga cywilna. Ta odwaga która każe postawić dla idei wszystko na szali: honor, nazwisko, ambicję osobistą, wszystko! To cecha, która niestety należy do rzadkości, ale która może wypłynąć tylko i wyłącznie ze zrozumienia swych obowiązków i wielkiego ukochania idei.

Wyprawa w samotrzeć Weydenthala, Lisa-Kuli i Matuzewskiego do Bobrujska, ten największy dowód cywilnej odwagi to obrazek, jakby żywcem wyjęty z heroi greckich. Korpus pierwszy za chwilę złoży broń, podpisano już nawet bardzo nikczemny papier, zmieniający dwadzieścia trzy tysiące żołnierzy na bezbrojnych, internowanych, niezdolnych w każdym razie na pewien czas do walki ludzi. Weydenthal błyskawicznie podejmuje decyzję: aresztuje dowódcę pierwszego korpusu, układa plan działania, który nie został wprowadzony w życie znowu jedynie dzięki odmówieniu posłuszeństwa przez legję oficcerską. Zakończenie całego incydentu zasadniczo nas nie interesuje, ale samo powzięcie decyzji. Możliwość jej powzięcia. Weydenthal nie miał złudzeń co do powodzenia zamachu, zdawał sobie dokładnie sprawę z tego, że prawdopodobieństwo powodzenia jest bardzo małe, natomiast zupełnie pewnym jest, że w razie fiasca ponieść będzie musiał konsekwencje. A konsekwencje były bardzo przykre, bo w rozkazie dziennym I-szego korpusu ukazała się zmianka, nazywająca trzech śmiatków: „Iotrami za obce, działającymi pieniądze“, odbierające honor i cześć, prawo noszenia munduru oficera polskiego tym, których dzisiaj po śmierci uważamy za największych bohaterów legionowych. Dopiero w roku 21-szym Oficcerski Trybunał orzekający stwierdził, że rozkaz był bezpodstawny i jako w wysokim stopniu ułbiwiający godności oficcerskiej i osobistej, został przekreślony. Czyż można dać większy dowód cywilnej odwagi, niż w tym wypadku dał pułkownik Weydenthal?

Życie Weydenthala było krótkie, ale ileż napotkał w nim przeciwnostw, trudności, ileż niesprawiedliwości. Weydenthal załamywał się ale nie zламаł się. Wola, hart, jednym słowem człowiek, którego określamy w potocznej mowie, jako człowieka z charakterem. Charakter.

To tylko kilka luźnych rzutów wstecz na charakterystyczną postać oficera, o prawej i szlachetnej indywidualności. Kilka analitycznych rysów charakteru dowódcy i oficera, nie podług pięknych, ale czysto trudnych do pogodzenia z życiem zdań teoretyków wojny i wojskowości, ale przelanych na papier właśnie wprost z życia. Przeprowadzenie syntezy mija się z celem. Celem jest zeszytyzowanie tych kilku rysów w naszych charakterach.

Toruń SPART.

pchor. Z. Zajęzkiewicz



JEST... BYŁO... BĘDZIE...

Czy to walka narodów, a może mecz rugby? — o nie to niewinne rozdawanie Podchorążego.

Jestem pierwszy; gdyż siedzę najbliżej drzwi — pierwszy zawsze i wszędzie, do wszystkiego i nleżego.

Wydają pocztę — pierwszy... zbiera ktoś o.p.r. — pierwszy, nieść c.k.m. — pierwszy, to ostatnie to bardziej z tradycji niż z siedzenia...

Ale stop! skłamałbym nie wszędzie jestem pierwszy — naprzykład w szeregu na zbiórce... Bóg obdarzył mię małym wzrostem, a ludzie mianem konusa; początkowo rozpaczalem ale przekonałem się, że na mą małą osobę mało wyjdzie materiału na mundur — taniej, a dzisiaj kryzys — w jadalni wycior, któremu sięgam do pasa tyleż dostaje co i ja, kto zatem wygrany?... Naprawdę przyjaciele konusy z nami tak źle niebędzie i nie jest...

Wracam jednak do bitwy i Podchorążego... dzięki kilku prostym, sierpowo-zamachowo — wolno-amerykańskim wywalczam egzemplarz... czytam...

...Co!?! S.P.P. w dalszym ciągu milczy? — a tylko do czasu do czasu umacza pióro ktoś i znów przerwa... Toruń, Grudziądz, Zambrów, Warszawa i tyle innych miast łączy swe troski, bólczki, przypadki i wypadki w „Podchorążym“ a nasze Komorowo milczy, czemu?

Trzeba więc coś i o nas napisać!

O jak potężne jest... „Jest“... we wszystkich czasach, odmianach i t. d.

Ja w tym wypadku zacznę od Było, a nie od Jest...

A więc było dużo rzeczy dobrych, mniej dobrych, gorszych, złych lub zgoła koszmarnych... to stare Było... nowsze Było: a właściwie były — manewry i do tego zimowe. Manewry? — jak manewry, manewrowało się; był mróz — ale to przecież manewry zimowe, a gdzie zima tam i mróz.

Ale był też i karnawał...

A propos karnawału — całe S.P.P. bawiło się wyśmienicie...

Czy to dzień, czy noc, czy to rano, czy wieczór wszyscy bawili się wspaniale o każdej porze doby...

W dzień, wieczór, a nawet czasami w nocy lub rano bawili się wykładowcy — bawili się nieczem kot z myszką, lub boa z królikiem — a zwłaszcza w okresie repetycji...

Brrr... na wspomnienie tych chwil szlachetny ród mrówek rozpoczyna wędrówkę od pięt aż po szczyt włosów — nawiasem mówiąc wiecznie rozczochranych i aż 10 cm. długich, ale to tylko w oczach Władzy... Bawili się...

A my!?!

Szara masa — bawiliśmy się również!

W soboty (nie w każdą i nie wszyscy) od 20 tej do 2-jej szereg par płaśało po lśniących apartamentach kasyna — par, których połowa (męska) za 3 lub 2 godziny później, płaśała w dalszym ciągu, tuląc się do matki-ziemi..., przyciskając do bohaterskiej piersi c.k.m. lub indywidualne kb...

Bawili się...

Lecz nie wszyscy mogą bawić się, muszą być i tacy, którzy pełnią twardą, rzeczywistą służbę... wartę...

Hm — mrukanie ktoś — wielka mi rzecz — warta! — Tak, ale zależy gdzie i kiedy... naprzykład...

Zbliżała się godzina kolacji. Siedziałem nad książką, płynące z głośnika upojne tony kołysały mą marzycielską duszę, wszak dziś sobota idę do kasyna...



Wtem — bomba — o nie! to błyskawica wpada do sali — szef. pchor. komp.

Tyl... — Ty — i Ty! — przygotować się do odprawy warty! — Oczywiście jak tradycja nakazuje należałem, jako pierwszy do tych wybrańców losu...

Panie pchor... panie szefie... przecież ja mia...

— Pytam się Was o to?! — żal, romans, gwadelupa?... — Będziecie mieli dość czasu namyślić się na posterunku... no i regulaminowi stanie się zadość — po powrocie żalte się...

Ależ dlaczegoż ja? — tylu innych jest...

— Koniec, zrozumiano! o 19 odprawa — trzask zamkniętych drzwi, kłamka zapadła — warta jest...

Minęło 90 minut...

Skrzyp... skrzyp... to ja we własnej osobie z duszą na ramieniu mierzę odległość — kostnica — najbliższy budynek t. j. izba chorych... z ust moich płyną słowa modlitwy — spływają wyrazy łacińskie, polskie, rosyjskie, hebrajskie, chińskie... a bo ja wiem iloma językami błagałem Pana o pokój temu, który tam, w kostnicy na stole sekcyjnym przykryty prześcieradłem spoczywa...

...W mogile... śpij... ..ki... uniósł się zgodny chór krzewów, podchwytyły sosny — samotnice, podchwycił wiatr północny i zaczął grać wśród splotu drutu i gałęzi pieśń ostatnią... pośmiertną... Czas mijal...

Idą... nareszcie — zmiana...

I tak bywało...

...Był mróz — a jak mróz, to i lód musiał być skorzystał z tego nasi hokeiści i zorganizowali mecz II baon contra III-ci.

A było tego moc wielka — nie tych, co to z kijkiem, krążkiem i językiem na brodzie uganiał się nieczem opętańczy po tafli lodowej, ale tych — kibiców, którzy zwartym szeregiem oblepili balustradę basenu — było dwa obozy: „młodych“ — to my (II) i „starych“ — to oni (III).

My — Bij, zabij, morduj! Nożem go! uziem go! — za burtę go!

Oni — Zapisz go! — Nazwisko?! — Te, mały oddaj, lub leć kurze wycierać!

Oto takie i temu podobne krzyki przy akompaniamencie śmiechu rozlegały się wokoło...

— Obyśmy — „młodzi“ — tembardziej krzyczeli, że tylko w dniu zawodów sportowych, na boisku jesteśmy równi „starszym“.

Było i to...

Mijał karnawał — był śledz... błady róż spoczął w salach kasyna... półmrok przycałał się w zakątkach... tango... spleceni, ukołysane melodją płyną pary... suną... giną w swej mnogości... walczyk... Jestem młoda wdowa... i Znowu nieszczęsny „skrzypek“... narodowa werwa — to oberek, reflektory raźniej rzuciły snopy szkarlatu... nawet „miki“ z lustranych tafli uśmiechnęły się — zda się mówiąc — teraz to rozumiem...

Czas leci... tradycyjny śledz wywindował się pod sklepienie... lampka wina... ostatni mazur... i żegnaj karnawale roku 1936...

To wszystko było...

A jest? — post... — śliczna pogoda, wiosenna... praca... szare życie... to jest...

A będzie? — co Bóg da... Władza nakaże... a my zrobimy... to będzie...

WYCHOWANIE FIZYCZNE S. P. S. R.

Bylem jeszcze w cywilu.

— Panie pułkowniku, w planie pracy na rok bieżący wysunęliśmy kwestję opieki lekarskiej dla zawodników. Pierwsi poruszyliśmy tę sprawę na walnym zebraniu P. Z. L. A. i teraz, gdy jest ona już ujęta w ramy przepisów, musimy dążyć do jej realizacji. Ale do tego potrzebujemy ludzi obznajmionych z tą dziedziną, którą za wzorem Niemców nazwę „medycyną sportową” (Sportmedizin).

— Słusznie pan podniósł — odrzekł kierownik Okr. Urzędu W. F. i P. W. a zarazem prezes okr. zw. lekkoatletycznego — ten ważny punkt naszego programu. Niestety w Polsce lekarzy sportowych, albo nazwijmy ich szerszym pojęciem, lekarzy specjalistów od wychowania fizycznego mamy minimalną ilość, a zapotrzebowanie na takich fachowców jest duże i z roku na rok będzie wzrastać. Jeśli chodzi o nasz lokalny interes, to problem kontroli i opieki lekarskiej będziemy mogli w znacznym stopniu rozwiązać przy pomocy poradni sportowo-lekarskiej przy tutejszym okr. ośr. W. F. Nowopozyskany kierownik tej placówki p. dr. S., zresztą znany panu jako pierwszorzędnemu lekkoatleta, ma ukończoną Szkołę Podchorążych Sanitarnych Rezerwy i odbył praktykę w C. I. W. F.

Kilkanaście miesięcy po tej rozmowie na własne oczy miałem przekonać się, jaki wpływ na usportowienie swych uczniów wywiera nasza Szkoła, jaka jest jej rola w rozprzestrzenianiu idei wychowania fizycznego.

Bezsprzecznie w dobie obecnej wzmożenie tężny i sprawności fizycznej społeczeństwa jest w dużej mierze zasługą wojska. Państwowy Urząd W. F. i P. W., który ma pieczę nad całokształtem zagadnień wychowania fizycznego w kraju, jest podległy ministrowi spraw wojskowych. Poszczególne formacje, każdy oddział wojskowy stawia wychowanie fizyczne na pierwszym miejscu w swym planie wyszkolenia. W S. P. S. R. wykłady i ćwiczenia fizyczne nabierają specjalnego znaczenia, ponieważ uczniami tej szkoły są młodzi lekarze. Zadaniem medycyny jest leczenie i zapobieganie chorobom, a także rola doradcza w kształceniu psychiki dzieci i młodzieży. Przy wypełnianiu tych zadań z postępowaniem czasu coraz większe znaczenie zyskuje środek p. n. „ćwiczenia fizyczne”, „wychowanie fizyczne”. — Nie w ampułkach i proszkach. Opakowanie jego stanowią promienie słoneczne, rześkość powietrza, miękkość wód, puszystość i biel śniegu. Zawartość — ruch. Do użytku zewnętrznego i wewnętrznego, ciała i duszy.

Organizacja studjów lekarskich nie uwzględniała dotychczas w swym programie „wychowa-

nia fizycznego” jako odrębnego przedmiotu nauczania. Ostatni rok przyniósł pewną poprawę w tym kierunku; mamy już zaczątki katedr wychowania fizycznego na wydziałach lekarskich w niektórych ośrodkach uniwersyteckich. Życzyć należy, by stały one na równych prawach z innymi katedrami i aby przedmiot ten obowiązywał wszystkich medyków. Zanim to jednak nastąpi, Szkoła Podchor. San. Rez., jak dotychczas, będzie, w skromnym wprawdzie zakresie, jeśli chodzi o część teoretyczną, ale już w znacznie większym stopniu w części praktycznej — wypełniała zasadnicze braki w „wyszkoleniu fizycznym” swych uczniów.

Stosunkowo znaczny procent studentów zaniedbuje ćwiczenia fizyczne w czasie studjów. Słuchacze medycyny nie stanowią wyjątku. Różne są ku temu powody. Obecnie mamy w szkole gimnastykę i pływanie, a przedtem były jeszcze lekka atletyka i gry sportowe. Stanowią one dla uczniów miłą odpoczynek i z pewnością są najbardziej lubianym zajęciem. Wynika to z samej istoty ćwiczeń, a także jest wielką zasługą instruktorów. I ci, którzy dawniej ćwiczyli, jak również ci, co pierwsze kroki stawiają w sali gimnastycznej, czy też nadmiernie opróżniają basen pływacki z wody, polykając ją niechętnie, — wszyscy bezsprzecznie odnoszą indywidualną korzyść w postaci rozszerzenia swej sprawności fizycznej i powiększenia doświadczenia.

Okres jesienny był wykorzystany na organizację zawodów lekkoatletycznych i siatkówki, przeprowadzoną przez sekcję sportową klubu towarzysko-rozrywkowego S. P. S. R. W pierwszym dziale zwyciężyła I-sza kompanja, w drugim — przy równych siłach szczęście uśmiechnęło się II kompanji. Za kilka tygodni odbędą się zawody pływackie.

Wykłady w teorii wychowania fizycznego wprowadzają nas w tę piękną i ważną ze stanowiska społecznego dziedzinę, oświetlają niejasne dla nas dotychczas problemy.

St. szer. z cenz. P. Poluchtowicz.

DZIAŁ LITERACKI

PSY W S. P. R. A.

Było, jest i będzie ich zawsze kilka lub kilkanaście... Są nieodzowną częścią „inwentarza żywego” S. P. R. A. Każdy „rocznik” (uczniów Szkoły) przekazuje je następnym, a raczej — przekazują się one same.

Pierwsza znajomość? — Jako zwykle, zawsze i wszędzie. — Jedni długo spoglądają na nie nieufnie (wiadomo — jeszcze „cywile” — psich „sublokatorów” się boją) — inni wcześniej się nimi zainteresują.



Jeden z wiernych przyjaciół

fol. Słomiński

Ale nieufny jest tylko początek. Później nie znajdziesz takiego, któryby im nie rzucił przychylnego słowa — lub — czegoś bardziej „materjalnego”.

Nie znajdziesz choćby „najgroźniejszego” służbowego, któryby się zdobył na wypędzenie któregoś z nich z pod stolika „służbowego”... Ba, któryż z nich nie jest rad — jakoś milej — mniej dłużej się czas czuwania. — Nieraz zobaczysz — przypadkowo — ukradkiem, jak niejeden z „władzy” nawet — z tych najsurowszych, przy których ci najczęściej język „kołowacieje” w „meldunku” — pogłaszcze łąszącego się psiaka — nie patrząc na to, że „umorusany” i obłocony.

Łatwo je poznać i odróżnić od „cywilów”.

Poznać — po przywiązaniu do — munduru. Nie do osoby — do munduru... „Cywilów” nie znasz. — Niech tylko który się ukaże na terenie koszar — „mówią” mu o tem swą psią mową — warczą i szczekają... Tolerują ich tylko poza obrębem koszar...

Niejeden z nas chlapiąc po sławy pełnym błocie, wpadłszy w „smętek” i z każdym krokiem marszu „rozżalając się w sercu swem” o niepamięci Krysi, czy Janki — uśmiechnie się spojrzawszy w bok. — Psiakrew, przynajmniej „Kropuska” o nas pamięta. — Czy któraś z „tamtych” laźłaby ze mną w tem błocie, jak to bezinteresownie przywiązujące się psisko? — Nawet na list się nie zdobędzie.

ROK 1935 — 36

Rok szkolny S. P. R. A. we Włodzimierzu rozpoczął się dnia 20 września 1935 r.

Wczesnym rankiem, wśród oparów mgły, ciężko dysząc, powoli wtoczył się na dworzec kolejowy pociąg obładowany po same brzegi młodymi cywilami, spieszącymi na rozkaz do swych wojskowych przeznaczeń. I zdawało się, że Włodzimierz śpi — tak cichy był napozór i spokojny; przeciwnie — on czuwał, on już po swoich gości chciwiał wyciągał rękę, aby ich z swobody cywilów od razu wcielił poza mury koszar wojskowych i tu ezulą ich opieką twardej ręki wojskowej otoczyć. Zaroiły się więc puste i głuche koszary szkolne im. Marszałka Piłsudskiego szarymi cywilami, zawrzało życie jakieś takie ruchliwe, gorączkowe, pełne przygotowań. W wielkiej sali, o której teraz wiemy, że jest to świetlica Nr. 1, zebraliśmy się jak komu wypadło: z walizką, w płaszczach lub bez, przy stole, na ławach, przy oknach czekając, co będzie dalej.

Przywiązują się do zespołów, dyonów, baterji lub nawet poszczególnych plutonów... Znajdziesz je wszędzie, gdy tylko o nich pomyślisz. Jeśli nawet nie pamiętasz w tej chwili o nich, to przypomną się same; nie mają uraz, żeś przez parę godzin zapomniał o ich istnieniu. Siedzą przy stoliku „służbowego” — „Kropuska” pod nim. Człapiasz w „pantoflach” — „z nocej wracając wycieczki” — „Zapadka” cię liźnie ciepłą ścierką — językiem po gołej nodze, dając znak swej obecności... W dzień niezgorzej czuje się „Zapadka” — śmieszny i groteskowy psiacek — na ławce, w sali wykładowej, lub, budząc natchnienie w artystach amatorach, wśród farb, butelek i pendzli na stole w odnawianej „pałarni”...

Jeśli sądzisz, że szukają one u ciebie tylko działu strawą, ciepłem i dachem — mylisz się. Dzielią z tobą również trudy marszu, błota lub mrozu i czuwania...

Potrąfią być wdzięczne. Przywiązanie i wdzięczność zmusza je nawet do — odprowadzania cię na każdy urlop — każdy wyjazd. Odprowadzą nie tylko na dworzec... Będziesz je widział jeszcze długo przez okno wagonu. Są niezmordowane w swem przywiązaniu; przez kilkadziesiąt nieraz km. zwycięsko panuje siła przywiązania psiej duszy nad zmęczeniem — zapomnisz już o nich i zdziwiony widzisz je jeszcze na którejś stacji... Kiedy wrócisz, zobaczysz je już na dworcu — przyprowadził je niezawodny instynkt. A może zaglądały na dworzec codziennie, oczekując? Nie potrafisz tego wyczytać z radosnego „merdania” ogonem...

Idziesz z „paczką” kolegów na przepustkę i mimowoli obejrzyj się czy czasem „Rexa” lub „Kropuski” niema w pobliżu. Pomyśl tylko o nich, a wnet się znajdą... Ileż to razy „Kropuska” towarzyszyła nawet — do kina, cicha — pełna psiej dystynkcji i dobrych manier... Nikt ich tu manier nie uczy — są im wrodzone. Bo żyją przecież w niezem nieskrępowanej swobodzie. — Jedyne więzy — więzy dobrowolne, ale płynące z potrzeb psiej „duszy” to przywiązanie do nas, do naszego munduru... Kiedy stąd odjedziesz wspomnisz może czasem o „Kropusce”, „Zapadce”, „Zaszczepce”, olbrzymim „Wyciorze” i wytrwałym „Rexie” — zwanym także „Urlopem”, o „Zuli”, kulawej „Zazie” i o innych wyłach, wilkach oraz pozostałych z psiej rodziny, których pochodzenia, rasy i wieku nawetby cudotwórca nie określił.



Dopasowany „bucik”

fol. Henoch

Nie bawiono się z nami długo. O godz. 10-tej piękny, pogodny, piątkowy dzień 20-ty września był świadkiem, jak zrzucając z siebie resztki cywila przeistaczaliśmy się w wojskowych. Na dziedzińcu widać już świeżo upieczonych kanonierów w drellichach, którzy kręcąc się od stołówki do swoich baterij, powoli zaprawiają się do nabywania otarć i odcisków w niewygodnych butach. Tak mijają pierwsze dni. Z każdym dniem przybywa nowy zastęp młodych cywilów, powiększając nasze szeregi. Wreszcie powoli z naszego widnokręgu znika szary strój cywila, a wszędzie roi się tylko od zielonych mundurów i czarnych butów z długimi cholewami.

W pierwszych dniach odbyły się popisy sprawności fizycznej wszystkich uczniów Szkoły, poczem rozpoczęło się już regularne życie wojskowe. Na placu ćwiczeń codziennie uwijają się kolumny czwórkowe, które w takt komendy „raz, dwa, trzy, prawa” wybijają swoje ciężkie kroki. Poci się „wiera” solidnie, ale to nic; jest kąpiel i już wszystko zmyte bez śladu. Nadchodzi niedziela. Każdy wzdycha do tego dnia wypoczynku, aż tu nowa niespodzianka: niema wypoczynku, lecz wycieczka krajoznawcza po terenie rozległych koszar, boć trzeba wiedzieć, gdzie co jest. I słusnie — trzeba do szewca w przyszłości trafić, izby chorych też nie wypadła zostawić w spokoju, do stajni pójść trzeba i do działowni też nas skierują.

W niedzielę dnia 29 września cała szkoła przybrana odświętnie, bo w spodnie z karwaszami i w ćwiczebnych zeszlorocznych mundurach sukienkach udała się na mszę św. do pobliskiego garnizonowego kościoła. Po mszy św. w szko-



Nauka własna

fol. Olszyczuk

Najmłodszy entuzjasta szybownictwa

fol. Spodar



le na placu ćwiczeń odbyło się powitanie uczniów przez Komendanta Szkoły pana podpułkownika mgr. Jana Filipowicza.

Stopniowo coraz bardziej stajemy się żołnierzami. Nauczyliśmy się już oddawać honory, to też na każdym kroku salutujemy, czy trzeba, czy nie trzeba.

W naszym szarem życiu codziennym dużo urozmaicenia dostarcza ujeżdżalnia, na której z siebie tylko właściwą umiejętność, a zarazem z wielkim wyobrażeniem o swych w tym kierunku zdolnościach, ujeżdżamy ogniste rumaki, w czym pomagają nam nieźle instruktorzy swą specjalną retoryką wojskową stosowaną na ujeżdżalni. Tu wielu dowiedziało się o sobie takich szczegółów, których w metryce zwykle się nie umieszcza; przyjmujemy to jednak ze specjalnym humorem; jedni nie reagują, bo są może niepewni prawdy, inni patrzą na to przez żołnierskie szkła. Nie tak obojętnie, a z drugiej strony wesoło ustosunkowaliśmy się wobec pierwszego chrztu zastrzyków nosporniających przeciw ospie i tyfusowi, który odbył się 12 października. Wszyscy chodzili jak połamani — jednym ręce opadały ze znużenia, innych kłuło bez pardonu pod łopatką; ale ponieważ był zakaz poddawania się tym boleściom, zatem każdy wmawiał w siebie, że jest zdrow i stawał gotowy zawsze do wszelkich zbiorów mimo, że nieublagana rtęć termometru wskazywała uparcie 39° C i więcej. Nie przerywało to również bynajmniej normalnych zajęć, owszem, nawet jakby ze zdwojonym tempem odbywają się ćwiczenia w mustrze pieszej wszystkich baterij na placu ćwiczeń, a to w związku z przygotowaniem się do defilady.

W sobotę dnia 19 października odbył się bieg myśliwski oficerów S.P.R.A., w którym zwycięstwo odniósł p. mjr. Kułakowski. Po biegu i ukończonych gonitwach w kasynie oficerskim w S.P.R.A. odbyło się wręczenie nagrody. Spożycie tradycyjnego bigosu i dancing.

Znowu boisko S.P.R.A. zapełniło się gwarem, błyskiem szabel i karabinów, komendami takimi, jak czwórki wpród, czwórki wtył, równaj w prawo, a kanonierzy z cenzusem chodzą coraz lepiej, coraz pewniej mimo, że z ust instruktorów padają ciągle słowa „jeszcze raz, to nic nie było” — „chodźcie jak karawaniarze”. Wśród tego gwaru, hałasu i wiru bijącego silnym tętnem naszego życia, doszła nas smutna wieść, że dnia 28 października zmarł w szpitalu wojskowym w Warszawie kolega kan. z cenz. Mściśław Wąs z 6-tej baterji szkolnej, w którym, jak stwierdził rozkaz Komendy Szkoły, straciliśmy dzielnego żołnierza, współtowarzysza broni.

W dniu W. Świętych 1 listopada 1935 r. delegacja Szkoły w składzie 1 oficera i 3 podoficerów z każdego batoonu, oraz po 3 kanonierów na baterję szkolną i ćwiczebną, wzięła udział w uroczystości poświęcenia grobów na cmentarzu wojskowym i w odprawieniu modłów za dusze poległych żołnierzy. Uroczystość tę celebrował ks. proboszcz garnizonu. W dzień zaduszny t.j. 2 listopada odbyło się ranne nabożeństwo żałobne za dusze poległych i zmarłych żołnierzy, w którym wzięła udział delegacja Szkoły.

Wśród ćwiczeń musztry pieszej zbliżył się szybko dzień 11 listopada 17-ta, rocznica odzyskania Niepodległości Państwa Polskiego, w którym to dniu S.P.R.A. miała wystąpić poraz pierwszy oficjalnie przez wzięcie udziału w defiladzie w mieście. W wigilję tego dnia na placu ćwiczeń Szkoły odbyła się próbna defilada wszystkich baterij szkolnych. Z uśmiechniętą miną w takt dźwięków orkiestry przemarszerowaliśmy pewnym krokiem przed przyjmującym defiladę p. Komendantem Szkoły, a z twarzy jego wyczytaliśmy zadowolenie.

Wieczorem tego dnia odbyła się uroczystość złożenia wieńca na płycie Nieznanego Żołnierza, w której wziął udział pluton w szyku pieszym ze S.P.R.A. prowadzony przez por.

Marchyszyna, oraz z każdego dyonu po 1 oficera i 2 podoficerów delegowanych przez d-eów dyonów. W samej zaś Szkole w świetlicy Nr. 2 urządzono akademię, na którą złożył się referat okolicznościowy wygłoszony przez kan. z cenz. Kozielskiego z 1 baterji szk., dalej — produkcję chóru szkolnego i poszczególnych uczniów Szkoły pod postacią deklamacyj utworów mających na celu upamiętnienie drogiej nam rocznicy. Pod względem całości stała akademja szkolna, jak stwierdził p. Komendant Szkoły w rozkazie dziennym z dnia 12.XI.35 r., na wysokim poziomie wychowawczym, artystycznym i organizacyjnym, za co pan Komendant wyraził swoje podziękowanie pp. oficerom z komisji kulturalno-oświatowej oraz wszystkim kanonierom z cenz. członkom Koła kulturalno-oświatowego, którzy w urzędzeniu Akademji brali czynny udział.

W dniu 11-tym listopada zbudził się pod silnym wrażeniem mającej się odbyć defilady. Od samego rana wrzało w koszarach S.P.R.A. od gorączkowych przygotowań. O godz. 7,30 odbyła się zbiórka Szkoły na placu sportowym, skąd pod dowództwem Z-cy Komendanta p. mjr. Galstera udała się Szkoła do miasta. Tam o godz. 8,45 przyjął raport p. Komendant Szkoły, a następnie odebrał raport o godz. 9,15 i dokonał przeglądu całości p. Komendant garnizonu pik. Lubański Leonard. Po przeglądzie oddziały ustawione w dwuszeregu na ulicach Włodzimierza wysłuchały uroczystej mszy św. połowej odprawionej na placu przed kościołem farnym. Po mszy św. odbyła się defilada organizacji wojskowych i cywilnych przyjęta przez p. Komend. garnizonu i przedstawicieli władz miejscowych. Z defilady wróciła Szkoła do koszar, gdzie o godz. 12,30 odbył się wspólny obiad żołnierski z udziałem pp. oficerów i podoficerów w jadalniach dyonowych. Wieczorem w sali kina miejskiego odbyła się akademja z udziałem p. Komendanta, Zastępcy i d-cy II dyonu, oraz delegacji dyonów.

O ile nazwewnątrz uczniowie S.P.R.A. w nielicznych stosunkowo imprezach biorą czynny udział na początku swego życia wojskowego, o tyle wewnątrz praca wre na całej linii, czego wyrazem są liczne sekcje, jak: dziennikarska, teatralna, fotograficzna, dekoracyjna, sekcja O.P.L. i O.P.G., towarzyska, opieki na Domem Dziecka, harcercska, przyjaćiół strzelca, szybocowa, sportowa, historyczno-muzealna i inne, które w szeregach swych skupiają prawie wszystkich uczniów Szkoły. Życie tych sekcji przejawia się na zebraniach, odbywanych dwa razy w tygodniu, oraz pracą nieraz mozolną poza zebraniem przez wykorzystanie każdej chwili wolnej między zajęciami służbowymi. Oprócz pracy wewnętrznej, organizacyjnej i ideowej po myśli statutów sekcje przejawiają swą działalność także na szerszym forum Szkoły. Sekcja przyjaćiół strzelca w dniu 14 listopada urządziła odczyt na temat ideologii strzelca, który szerząc ideę państwowości państwa polskiego skupia koło siebie jak najszersze warstwy społeczeństwa. przez co napobiega tarciom wewnętrznym i niweluje spory w stosunku do mniejszości narodowych, dążąc w ten sposób do utrwalenia państwa polskiego. W odczycie tym wzięły udział delegacje wszystkich baterij szkolnych, tak iż świetlica Nr. 1 wypełniła się po same brzegi. Poza to w niedzielę w sali wykładowej 1-iej baterji szkolnej odbywa się t. zw. „Kronika prasowa”, która dzięki swym doskonałym siłom fachowym w sposób bardzo wszechstronny i wyczerpujący informuje uczniów Szkoły o całokształcie polityki międzynarodowej z całego tygodnia. Udział w niej biorą liczni, oprócz delegacji bateryjnych, także uczniowie z własnej inicjatywy i dzięki własnym zainteresowaniom.

Celem uczczenia pamięci wojewody kijowskiego Adama Kisiela odbyło się w soborze prawosławnym w dniu 14 listopada r. ub. nabożeństwo z udziałem delegacji S. P. R. A. Po południu odbyła się akademja uroczysta w sali kina



„Za sekundę”

fol. Gawalski

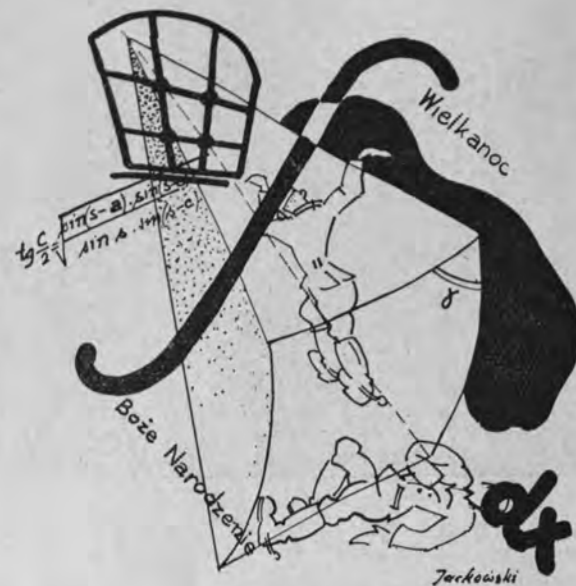
Powrót do działowni



miejskiego. Referat o życiu, działalności i testamencie ideowym b. wojewody kijowskiego Adama Kisiela wygłosiło dwóch prelegentów, jeden w języku polskim, drugi — w rosyjskim. Szereg okolicznościowych deklamacyj wykonali uczniowie gimnazjalni, a chór ruski odśpiewał kilka pieśni. W akademji udział wzięło całe społeczeństwo miejscowe, a zatem reprezentowany był kler zarówno prawosławny jako też i rzymsko-katolicki, dalej przedstawiciele władz miejscowych, mieszczaństwa, okolicznego włościaństwa, szkoły powszechne, gimnazjum, wojsko i delegacja S. P. R. A. Pod względem całości akademja odbyła się w nastroju bardzo uroczystym i stała na wysokim poziomie artystycznym i społeczno-moralnym, gdyż niewątpliwie przyczyniła się w dużej mierze do zacieśnienia przyjaznych stosunków między społeczeństwem polskim a ruskim na Wołyniu.

Sekcja historyczno-muzealna obok swej pracy wewnętrznej nad kroniką Szkoły, zaniedbaną od kilku lat, nad uporządkowaniem archiwum szkolnego, nad referatami z zakresu historii S. P. R. A. i historii rozwoju artylerji przystąpiła do odnowienia tablicy pamiątkowej, ufundowanej przez uczniów S. P. R. A. na kościele farnym i do jej dekoracji na dzień 29 listopada, jako dzień rocznicy powstania Listopadowego. Sekcja dekoracyjna przeprowadziła dekorację S. P. R. A. w dzień 11 listopada i udekorowała salę świetlicy Nr. 2 na akademję w dn. 10 listopada. Sekcja fotograficzna dokonała całego szeregu zdjęć fragmentów koszar Szkoły oraz zdjęć z defilady S.P.R.A. w dniu 11 listopada.

Sześćdziesiąty piąty dzień naszego przeszkolenia



rekruckiego pamiętny dzień 23-go listopada 1935 roku minął pod wrażeniem niezwykle wesołości i humoru. Wśród lekkiej zadymki śnieżnej z minami rozradowanymi szliśmy pełni werwy na ćwiczenia musztry pieszej, z fantazją odbywaliśmy jazdę konną, zwinni jak rysie rzucaliśmy się do dział na rozkaz „do dział”. Wśród tych zajęć dziennych nie spostrzeżliśmy się, jak szybko minęły godziny przedpołudniowe, zazwyczaj takie długie i tak wolno wlokące się.

Po obiedzie wyległa cała brać szkolna na plac ćwiczeń; na czele orszaku kroczyła grupa niosąca kukłę przedstawiającą rekruta. O! jak śmieszny był ten rekrut. W prawej ręce niezgrabna szabla, lewa przez zapomnienie prawdopodobnie podniesiona do salutowania, mina gęsta, nogi na baczność, buty olbrzymie, na wyrost, ostrogi ciężkie, jak kule u nogi. Przed i za rekrutem szły baterje rojem, ze śpiewem, wśród krzyków, gwizdów i wesołych śmiechów niosąc różne transparenty z obrazami i napisami odzwierciedlającymi istotne bolączki bateryjne, jako to: „więcej repety, a mniej repetycji”, „żądamy spania w kałesonach”, „precz z prasowaniem łóżek taboretami”, „nie siedź jak sierotka na tym koniu” i tym podobne. Trębacz i grajkowie trąbili z całych sił.

Wielu z tych naszych kanonierów przypomniało sobie jeszcze czasy cywila, co przejawiało się w ubiorach cywil-



W śniegu

nych z szabłą u boku, w czapce akademickiej, lub w kapeluszach cywilnych. Wśród hałaśliwej wrzawy orszak dotarł przed budynek Komendy Szkoły, skąd po odśpiewaniu marsza żałobnego udał się pod zimne mury aresztu szkolnego gdzie przy nowych wybuchach wesołości, krzyku i hałasu wypalono kilka bomb gazów łzawiących, co wywołało ten efekt, że cały tłum rzucił się biegiem na plac ćwiczeń unosząc z sobą jakby na skrzydłach w powietrzu, „rekruta” srodze już potarganego i poranionego. Na środku placu ryknęły znowu surmy trębaczów, a nasza brać, mając już dość tego „rekruta”, rzuciła się z ogniem na kukłę, która też w mgnieniu oka zamieniła się w jeden słup ognia, z którego syjąc się iskry, pomieszane z rozpylonymi przez wiatr drobnymi płatkami śniegu, przedstawiały obraz wcale niepospolity na tle zmierzającego i ku wieczorowi chylącego się dnia zakończenia okresu rekruckiego. Powoli grupkami rozeszli się ukończeni rekruci—kanonierzy z cenzusem do pieleszy bateryjnych.

24 listopada — Przysięga.

Od samego rana padał drobny śnieg, a lekkie podmuchy wiatru rozniecały zamieć śnieżną.

Na placu ćwiczeń zebrały się wszystkie baterje szkolne i ustawivszy się w dwuzeregach czekali na raport, który odebrał mjr. Pyrek, a potem p. Komendant Szkoły. Po raporcie przemaszerowały baterje pod ołtarz ustawiony przy trybunie, gdzie ustawiły się w czworoboku. Mszę św. odprawił i kazanie wygłosił ks. kapelan. W mszy św. obok oficerów Komendy Szkoły udział wzięli przedstawiciele miejscowych władz z panem Starostą, oraz licznie reprezentowane społeczeństwo. Po mszy św. okolicznościowe przemówienie wygłosił Komendant Szkoły poczem złożyliśmy przysięgę na wierność Ojczyźnie. My rzymsko-katolicy i grekokatolicy przy ołtarzu wobec ks. kapelana przysięgaliśmy obok ubranych w zimową zieleń dział, które spełniają w artylerji tę zaszczytną rolę w czasie przysięgi, jaka przypada sztandarom w piechocie i kawalerji. Koledzy innych wyznań, jak prawosławni, ewangelicy i żydzi składali przysięgę stosownie do swych wyznań religijnych, osobno wobec duchownych ich wyznania. Po skończonej przysiędze odbyła się defilada w koszarach S. P. R. A., którą przyjął p. ppułk. mgr. Filipowicz Jan. Maszerowaliśmy z tupetem i wesołą miną przy dźwiękach orkiestry, a dzięki tej naszej werwie pewności siebie defilada wypadła wspaniale. O godz. 1.30 odbył się wspólny obiad dywizyjami w jadalniach dyonowych. Obiad w drugim dyonie obecnością swą zaszczylili p. Komendant z oficerami Komendy Szkoły oraz przedstawiciele miejscowych władz z p. Starostą na czele. Wśród śpiewów i hucznych toastów, wprawdzie tylko z przezroczywej herbaty, godzina obiadowa szybko minęła. Po południu o godz. 3-ej odbył się „Wesoły wieczór” powtórzony jeszcze o 18-ej z udziałem grona oficerskiego z p. Komendantem na czele i dość licznie zebranej publiczności. „Wesoły wieczór” urządzony był przez uczniów Szkoły, przy czem główną zasługę ponoszą tu sekcje: teatralna i dekoracyjna. Na program złożyły się produkcje muzyczne, monologi z życia wojskowego, skecze, piosenki. Przepiękna dekoracja dała podkład skeczom i sownie uzupełniła program.

Młodzi adepci sztuki wojskowej, dwumiesięczni uczniowie S. P. R. A., już po przysiędze kanonierzy w pełnym tego słowa znaczeniu, wylegli na podstawie otrzymanych przepustek na ulicę Włodzimierza. Życie miasta bić poczęło od razu żywsem, młodzieńcem tętnem, bo też tych podchorążaków widać było wszędzie, na ulicy, w kawiarniach i w kinie, a wszędzie widziałeś ich butnych, wesołych z miną zadzierzysłą.

Na „Święto Podchorążego” t. j. na dzień 29 listopada Szkoła wysłała do Warszawy swoich delegatów, a mianowicie po 2 kanonierów z cenz. z każdej baterji szkolnej. 29 listopada 1935 r. cała Szkoła wzięła udział w uroczystym capstrzyku. Po obiedzie wszystkie baterje w mundurach wyjściowych zebrały się na placu ćwiczeń. Po przyjęciu raportu przez d-cę całości p. mjr. Kułakowskiego i po odśpiewaniu „Warszawianki” Szkoła odmaszerowała w kolumnie czwórkowej do miasta, gdzie przed tablicą pamiątkową podchorążych przy kościele farnym odebrał raport p. ppłk. mgr. Filipowicz; przy tablicy zaciągnięto warty honorową, orkiestra odegrała „Warszawiankę”, a okolicznościowe przemówienie wygłosił kan. z cenz. Jan Golkowski z 10-tej baterji szkolnej. Spod tablicy pamiątkowej Szkoła wyruszyła na plac przed płytę Nieznanego Żołnierza. Orkiestra odegrała hejnał wojska polskiego na fanfarach, nastąpiła zmiana wart i apel poległych, w czasie którego orkiestra grała pianissimo marsza żałobnego, oddano 3 salwy honorowe, poczem nastąpiło przekazanie warty i Szkoła odśpiewała „Warszawiankę”. Na zakończenie uroczystego capstrzyku odbyła się przy płycie Nieznanego Żołnierza defilada przyjęta przez p. Komendanta Szkoły.

W dniu 30 listopada w świetlicy Nr. 2 odbył się „Wieczór Podchorążego” z przedstawieniem p. t. „Droga do wolności” w wykonaniu uczniów Szkoły, na program którego złożyły się obrazy z „Kordjana” Słowackiego, z „Rok 1863” Rzewnickiego, z „Nieboskiej Komedji” Krasieńskiego i „Wyzwolenia” Wyspiańskiego oraz piosenki legionowe. Wieczorem w świetlicy Nr. 1 staraniem sekcji towarzyskiej urządzono wieczorek taneczny, w którym udział wzięł korpus oficerski S. P. R. A., zaproszeni goście i liczni wychowankowie Szkoły.

Przedstawienie p. t. „Droga do wolności” odegrano następnego dnia t. j. w niedzielę 1 grudnia poraz drugi, a dzięki wysokiemu poziomowi artystycznemu, na jakim je postawiono, powtórzone zostało poraz trzeci w środę 4 grudnia. Na wszystkich przedstawieniach frekwencja zarówno oficerów S. P. R. A. i innych formacji z Włodzimierza, jak też ludności cywilnej reprezentującej społeczeństwo miejscowe oraz samych uczniów Szkoły była bardzo liczna. W pierwszym tygodniu grudnia w świetlicy Nr. 2 wyświetlono dla wszystkich baterji szkolnych film wyszkoleniowy p. t. „Kawalerja”.

Z pierwszym tygodniem grudnia rozpoczął się okres repetycji z przedmiotów wykładanych w szkole. Spokojne dotychczasowe życie zabiło silniejszym tętnem, zawrzało jakoś wśród braci szkolnej szeregami nowych wrażeń, a wszędzie w przerwach między wykładami, czy w drodze do jadalni lub na plac ćwiczeń słyhać gorące dysputy na temat terenoznawstwa, gazoznawstwa, służby wewnętrznej, obliczania najmniejszego celownika i całego szeregu innych, ciekawych z punktu widzenia wojskowego zagadnień. W niedzielę dn. 8 grudnia wszystkie baterje szkolne zwiedziły „Dom Dziecka”.

Dla wypróbowania przygotowania bojowego uczniów S. P. R. A. odbyły się we wtorek i środę 10 i 11 grudnia ćwiczenia zimowe z udziałem wszystkich baterji szkolnych S. P. R. A. oraz oddziałów wydzielonych piechoty z 23 pułku. Część uczniów Szkoły spieszona wymaszerowała po obiedzie we wtorek 10 grudnia szosą w kierunku na Łuck i zakwaterowała na noc w wioskach odległych od Włodzimierza na mniej więcej około 20 km. Następnego dnia w środę rano wyruszyła druga grupa — nieprzyjacielska złożona z trzech baterji, w tem dwóch baterji armat i jednej haubic i z dwóch kompanij piechoty z 23 pułku. Wojsko posuwało się marszem ubezpieczonym. Przed wsią Cholutowo i w sa-



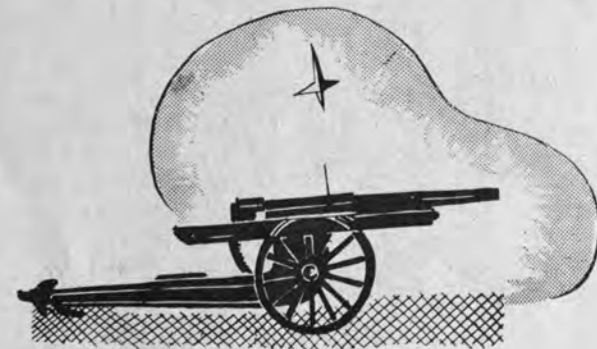
Chwilę przerwy — potrafimy wykorzystać

fol. Gawalski

mej wiosce 3-cia baterja haubic otworzyła ogień wspomagany przez dwie baterje armat, rozlokowane w pobliżu, pod osłoną którego piesze oddziały wykonały natarcie na nieprzyjaciela. Zwyciężyła oczywiście nasza grupa, bo tak piszący niniejsze wspomnienia kronikarz wspólnie ze swymi towarzyszami broni szeroko wszem, wobec i każdemu z osobna głosił w tymże pamiętnym pierwszym dniu naszych poczynań bojowych. Jak zaś było w istocie nikt z nas samych kanonierów zdaje się nie zdawał sobie wyraźnie sprawy. Powróciliśmy już o zmroku, zmęczeni mniej lub więcej zależnie, jaką kto miał funkcję.

Powoli zbliżały się święta Bożego Narodzenia.

20 grudnia, starego jeszcze roku 1935, odbył się na placu ćwiczeń S. P. R. A. tak zw. wieczór wigilijny. Przed trybuną przy pięknie przystrojonej i rześście różnobarwnym światłem iluminowanej choince, późnym już dość wieczorem zebrała się cała Szkoła pod dowództwem swoich przełożonych. Raport przyjął p. Komendant Szkoły, poczem przez K. K. O. w swem przemówieniu złożył imieniem całej Szkoły najserdeczniejsze życzenia świąteczne dla korpusu oficerskiego S. P. R. A. na ręce p. Komendanta. W odpowiedzi p. Komendant Szkoły, podkreśliwszy wielkie znaczenie i ten specjalny urok, jaki rok rocznie mają święta Bożego Narodzenia, wieszował nam Wesołych Świąt i życzył byśmy na urlopie nabrawszy nowych sił, wrócili zdrowi i ze zdwojoną energją zabrali się do intensywnej pracy w drugim okresie naszej służby.





Narty oszalały! Już nie niosą, lecz ponoszą...

LAIK NA NARTACH

Reportaż z II połowy Kursu narciarskiego w Worochcie
III rocznica S. P. L.

Tak się złożyło, że byłem dopiero po raz pierwszy na kursie narciarskim.

Wobec kolegów, którzy mieli poza sobą kurs w Sławsku, — „Akademickie Zjazdy” i inne temu podobne, a dla nie znających tych okolic nie mówiące nazwy, czułem się małym, ubogim, skromnym, — laikiem.

— Czem-że się mogłem poszczycić?

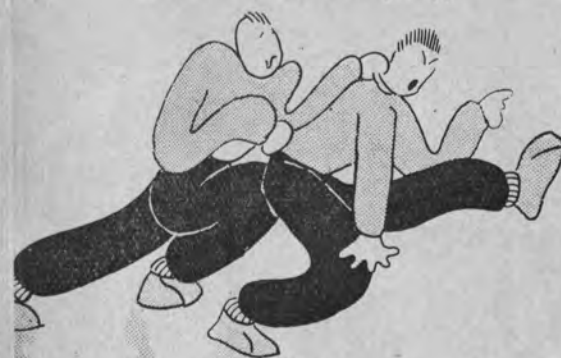
Miałem po za sobą trzynaście suchych wygibowych zapraw, siedem i pół godziny teoretyczno filozoficznych wykładów i sześć przespanych nocy na łożku, pod którym leżały dwie pary nart na skos.

— To było całe moje przygotowanie teoretyczno praktyczne. Cały kapitał narciarski — zasób, z którego miałem czerpać swe nowe powołanie narciarskie.

Z tem przygotowaniem, stanąłem oko w oko z praktyką. — Praktyka miała na imię Howerla i 2058 metrów wysokości. — Była śniegowym rezerwatem Beskidu Wschodniego, do którego zropaczeni narciarze po bezskutecznych poszukiwaniach śniegu w nieudanym sezonie zimowym w innych okolicach, ściągali, — aby tu, zawsze jakie takie warunki znaleźć.

Praktyka, posiadała sześć klm. ostrego, gołoledziowego podejścia, do pierwszego z brzegu, podróznego schroniska na „Zarosiaku”, — a stamtąd, jeszcze cztery klm. do szczytu.

— Dowiedziałem się o tem z góry. Nic mi to nie mówiło, — równie, jak i szarpane chrystjanje, które według ostatniego zakopiańskiego synodu znawców narciarstwa, — krótkimi nazywać się mają.



Szwajski

Było mi wszystko jedno. Szarpana czy ciągnięta, — oporowa czy kantowana. Szus — czy strzała, holweg czy wądzo. Nie znałem się na tem równie jednakowo. Dla ucha — wolałem nazwy drugie — były czysto polskie.

O radach doświadczonych narciarzy, opinję miałem

urobioną. Postanowiłem o nic się nie pytać i robić własne doświadczenia.

Ktoś elokwentniejszy, zauważywszy, że stoję gotowy i patrzę wątpliwie na świecące podejście, — gdy inni znawcy, dosmarowywali narty specyfikami w łątki, kropki, paski i już nie wiem jak, uśmiechnął się do mnie, na kształt — „znam ten ból” i zaczął mi klarować, że narty na zjazd mam nasmarowane doskonale — na podejście — do niczego. Słuchałem go spokojnie, cierpliwie, — myśląc, że prędzej skończy. Wreszcie, — bliski będąc zawrotu głowy, gdy kolega zonglował zapamiętałe szusami, chrystjanjami, holwegami szklankami — a kończyć nie myślał, przerwałem mu ten górsko narciarski, gwarowy potok.

Poprosiłem, by se już poszedł gołoledziowym wądzołem małgorzatką, — albo jak woli, to schodkami po szreni holwegiem, i — pozostawił mnie bez swych cennych rad wprawdzie ale i bez grozy pomięszania wątku.

Narty są ułatwieniem poruszania się po śniegu. O tem — wiedziałem oddawna. Mając to ułatwienie pierwszy raz na nogach, postanowiłem podążyć z wycieczką starych śniegowych wyjadaczy, na ową najwyższą z Beskidu Wschodniego Howerlę.

Czy wchodzić będę na swych deskach czy na czworakach, tego z góry nie decydowałem. Nie wyobrażałem sobie wogóle, jak się ta kwestja czworakowa rozwinie...

— W programie było 10 km. podejścia...

— Wojnę z nartami rozpocząłem od razu, od pierwszych kroków stromszego podejścia. Różnica zdań między mną a deskami, była zbyt wielką.

Ja chciałem podejść przodem w przód i w górę, — deski zaś uporeczywie i stanowczo tyłem w tył i w dół.

Składać broni nie chciałem. Właśnie, że się nie dam! Komu się miałem nie dać i komu właśnie — nie analizowałem.

Zacząłem iść na samych rękach i na kijach. Utrapienie z nartami pozostawiłem nogom...

Słyszac o zjazdach narciarskich, nie zastanawiała mnie nigdy sprawa podejść. Wszak by z góry zjechać — trzeba się na nią dostać — dostać o własnych siłach. (Wyjątek Kasprowy od 3 tygodni) Czas do rozpamiętywania tych zagadnień, dała mi wycieczka na Howerlę. — Dała mi nie tylko czas — dała mi porządnie w skórę...

Zaśnieżony Zarosiak, jest cudowną krainą.

W pośród wysokich, na wyścigi do słońca rosnących świerków grupa narciarzy, przypomina historję o drzewach olbrzymach i poczciwych krasnoludkach. Nie darmo męczące podejścia broniły tu wstępu... Chce się zatrzymać i patrzeć, patrzeć... aż do zapatrzenia, aż do wyrzycia w duszy na stałe pociągających pięknych kontrastów, jakie stwarza przyroda, łącząca śmiało ciemną, cienistą zieleń smreków z białym — liljowo-białym zacięnym śniegiem. Patrzę i czuję się jak w bajce.



Szwajski



Czas wracać.

Drogę powrotną przebywam też jak w bajce. Każdy ładniejszy fragment holwegu, każdy bardziej malowniczy, bardziej stromy, ostry skręt — poznają z bliska — namacalnie...

Upamiętniam różnymi częściami ciała...

— Drogę przebywam wybitnie etapowo. Etapy są bardzo malownicze, ale i bardzo częste...

Jednym z najbardziej urozmaiconych worocheńskich zjazdów jest zjazd z Kiezery. Powracaliśmy nim w drodze z Kukula. Mróz tęgi — pogoda słoneczna — zjazd stromy. Tym razem, narty nasmarowane za dobrze...

Usiłuję je trochę przyhamować, — kantuje, oporuję, esuję — gdzie tam! — naprężone w długim przysiadzie mięśnie boją od ustawicznego oporowania. Nogi w kolanach drżą z wysiłku, w takt na wietrze furkoczących spodni.

— Narty oszalały! Już nie niosą a ponoszą...

Pęd zatyka — zapomina się o oddychaniu.

Samotne, krzywe, sterczą na zakręcie drzewa. Pierwsze mijam — drugie mijam. Przejście w opłotkach — ho! udało się, trafiłem, jeszcze jadę...

— Gdzie one mnie niosą?

— Aha! Już wiem, widać... Z za ostatniego ślepego zakrętu otwiera się długi, niewinnie prosty, zato mocno tarasowaty zjazd...

Na całej długości białego, wąskiego wądzoła, mkną za sobą w odległości, co raz mniejsze, coraz bliższe siebie, ciemne punkty. Końca zjazdu nie widać. Zasłaniają go tumany śniegu, powstające za każdym dołączeniem ciemnej plamki do owego kotłującego miejsca.

— Nie mam już siły hamować. Lecę na zbity łeb. Komuś jest widać bardziej pilno odemnie, bo krzyczy — lewa wolna!

Chcę się zrobić cienki jak narteczka — uchylam się o ile to możliwe w szybkości.

Minał mnie — ostrem szarpnięciem zarzucając mi twarz tumanem porwanego szybkością śniegu. Niewiele widzę. Jeszcze jadę... Pilno mu było, — nie mógł zaczekać, — nie miał czasu... a ja byłbym leżał...

— Ahha... czekasz już na mnie kochanku.

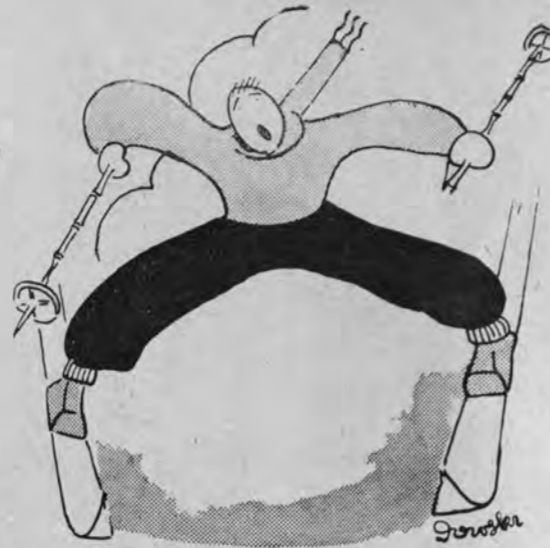
Mijający przed chwilą, zbiera się z pośpiechem z wąskiego wądzoła, usiłując powstać!

Widzi, że nie zdąży — narty mu się pomylły. — Pozostając na czworakach, jednym półskokiem przylepia się do prawej strony stromego wądzoła. Dla dodania mu ruchu — ryczą — tor wolny!

Robi się cieki jak gazeta i drugim, niezalepionym śniegiem okiem, orientuje się czy go nie zawadzę...

U wylotu na dole, czekają na mnie...

Przepisowo...Hoop! — rzuciło w lewo — jadę już na lewej nartcie. Rozpaczliwie przerzucam się na prawą. Gdzieś mnie coś przetrzymało. Podskakuję — tego tylko po-



trzeba. Spadam niejednocześnie dwoma nartami na próg, który właśnie wybija mnie w powietrze... Lecę...

Sytuacja jest przesądzona... Nogi mi się rozeszły, gdzie je tam ściągnąć. Chodzi mi obecnie tylko o to, by upaść najwygodniej...

Kulga i poniewiera mną należycie.

Nogi z rękami — narty z nogami, pokreśliły się zupełnie.

— Usiłują się rozplątać z własnej pogmatwalności — powoli, systematycznie...

Słyszę śmiechy — nie obchodzi mnie to.

— Jak to się wszystko zrobiło... Lewa ręka jest pod prawym kijkiem, przyciśnięta prawą nogą. Wyciągam ją.

Nóg rozplątać nie potrafię...

Skrzyżowane narty, nawzajem się przytrzymują, a ja leżąc na ich końcach, uniemożliwiam rozwiązanie sprawy.

— Leżę w białej jamie, wybitej ciałami śmiejących się teraz ze mnie poprzedników. Do tej pory, byli w niej sprawiedliwie: wszyscy sponiewierani bezapelacyjnie, dokładnie, skutecznie, — bez względu na funkcję — na stopień...

Pod koniec kursu, któregoś mortusowego popołudnia, siedziało nas kilku dokładnie „sputakanych” przy radio. Co było robić? „kochanych” pieniędzy przyslijcie!

Jakoś nie przysyłałi...

Pozostała nam dostępna, uczta słuchowo-darmowa, możliwość dyskusji na temat szkodliwości Five'ów dla kieszeni i wspomnienia...

Jurek G. miał na sumieniu drugą parę nart.

Opowiadał jak to było z tą drugą.

— Chciałem ci mieć brachu tor wolny.

Wyczekałem z dziesięć minut, i gdy ostatni znikł na dole, — ruszyłem.

Tor był wolny — zjazd śliski, a narty świeżą stearyną wysmarowane. Niosło mnie jak... (bardzo go niosło).

Pierwszy skręt możliwy, drugi — lepszy.

Poczułem się mocnym...

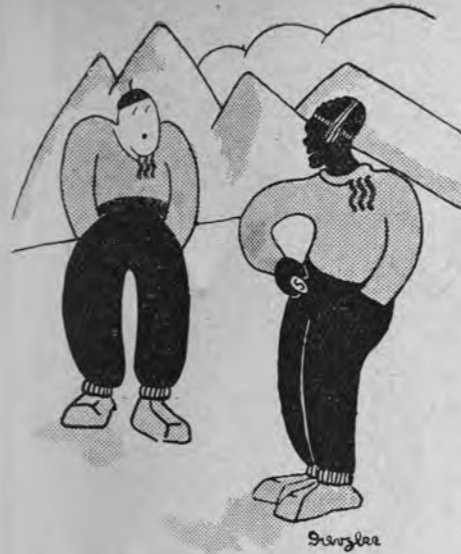
Lży mi z oczu lecąc ciurkiem.

Aż tu bracie holweg!

Chciałem trochę przyhamować, jak ci nie szarpnę chrystjanję, — a tu ja ci mówię brachu, jak mnie nie wyrzuci, jak mnie nie porwie i niesie prosto w pień.

Narty pod pień — ja przez pień i jak ci bracie nosem nie zarepetuję w korzeń..., to przez chwilę się nie ruszałem, bo ci się bałem, że jaki złamany gnat poczuje. A tu z lewej narty drzazgi, a z nosa krew, jak... (dużo krwi).

Co było robić.



i mu mówię: „Jacy my idjoci, po co mamy we dwóch leżeć... Z naszego łomu, jedna para nart i kijków się wybierze”. Mielśmy losować. Murzyn supelków ciągnąć nie chciał — bo do mojej chustki zaufania nie miał..., a swoją zgubił.

Wyjął świecące, widać długo w kieszeni noszone pięć groszy, rzucił i pyta: — orzeł czy reszka? — Orzeł — mówię — zawsze orzeł i brachu był orzeł. Za chwilę szarpałem z góry na łeb... i żał mi było Murzyna... W pół godziny byłem w pensjonacie. Murzyn dowlekl się wtedy z drzazgami... na plecach, za cztery godziny.

Opowiadanie to w rzeczywistości było dużo, dużo głośniejsze, dużo ciekawsze i weselsze... Jak się okazało, było ciekawsze od pasjonującej partii bridge'a, w sąsiednim, na oścież otwartym salonie bridge'owym.

Towarzystwo zapomniało tam o grze — i słuchało, słuchało... Po skończonym opowiadaniu byliśmy mocno zaskoczeni, gdy z sąsiedniego saloniku, wyłonili się wodzowie w komplecie i wyrazili swój podziw dla kwiecistości i żywości opowiadania...

Zapytałem na wszelki wypadek, czy tam słyhać było wszystko? Stwierdzono wszystkowiedząco: tak... Spojrzałem na Jurka. Uśmiechał się cierpko. Opowiadania nie przewidywał na export. Czerwony był po uszy...

Nadszedł bezapelacyjny, z góry postanowiony termin wyjazdu. — Dziś popołudniu!

Przewidujący i doświadczony Wódz narciarskiej imprezy, — radził nam rano, — zlikwidować do obiadu, wszelkie, z osiemnastodniowego pobytu zrodzone, węzły i zadzierzgnięcia...

Do obiadu, w naszych numerach jak wymiół, — nie było ani jednego podchorążego.

Wszyscy likwidowali zrodzone zadzierzgnięcia...

Likwidowali dokładnie, do ostatniej chwili — do samego obiadu.

Obiad — ostatni, dobry pensjonatowy obiad. Nawet z szykanami, extra z własnej szkatuły przez gościnnych gospodarzy pokrytymi.

Siedzimy na tych samych miejscach co i za pierwszym razem, ileż dni temu — wyglądamy tylko inaczej. Wiatrem i słońcem, na ciemny brąz ogorzałe twarze, świadczą — o czasie w górach niezmarzonym...

Wszystkim jest bardzo smutno z racji naszego wyjazdu, a nam jakoś dziwnie, jakoś szkoda, że już...

Na bocznicy czeka nas pusty, zamówiony wagon.

Pospinałem paskami cały łom, — na ramię i kulejąc idę z góry długimi krokami.

...Miałem ci do pensjonatu, leżąc 10 klm. — A potem brachu szliśmy razem, bo Murzyna też sponiewierało i nartę prawą mu połamało. Idziemy, idziemy..., a ja ci bracie kombinuję, jakby zrobić, żeby pieszo nie leżeć.

— A zjazd ci mówię jak... (świetny zjazd).

To ci brachu zatrzymuję Murzyna

Na peronie zamówionej ćwierć Worochty.

Ćwierć, z tej kapryśniejszej, nie zawsze młodszej połowy... — Mają pretensje... Mają pretensje prawie wszystkie — pozostające w Worochcie osoby, że wyjeżdżamy, że tak krótko...

Konduktor patrzy na zegarek, nie chcąc do ostatniej chwili przerywać nastroju. — Wreszcie nie może... Energicznie chowa zegarek i poleca nieubлагalnie: „Proszę drzwi zamknąć“...

Pożegnalny odjazdowy nastrój; nam ludziom przez Centrum Badań Lotniczo Lekarskich nieraz skwapliwie badanych i uznanych za zrównoważonych nerwowo, — nam, niby na wiele rzeczy obojętnych, — robi się jakoś miękko pod sercem...

Ktoś chwytając się z gestem za lewą górną kieszeń wiatrówki i nuci, wychylając się z okna: „dzisiaj tu, a jutro tam“!... rycerska powinność...

Pociąg rusza. Obaj właściciele miejscowych dancin-gów, mają łzy w oczach... — Żegnają, kiwają...

Wyłazimy prawie połową ciała z okien. Ile się da — niepomi na przepisy. Pociąg idzie coraz szybciej. Mknie krętą doliną Prutu, — peron znika zupełnie. Za skrzętem, mijamy ostatnią grupę pensjonatów dość odległych od Worochty, tuż przy torach w poszerzeniu doliny wyrosłych.

Jakby na sygnał — z okien, tarasów i werand powiewają nam flagami i wiwają...

Pociąg wciąż przyspiesza, przebijając się czasami przez ciemne tunele. Ściemnia się. Okolice coraz mniej interesują. Podróż zaczyna nużyć. Powoli ogarnia apatia i sennaść. Od czasu do czasu, pozawieszane i porzastawiane wszędzie narty, zeskakują nagle z miejsc, — gdzie je bujna imagina-cja młodych ludzi umieścić mogła. Deskom nie stało się nic... Spadały na siedzących pod nimi sennych i pomysłowych... To pociąg zataczał się na ostrych górskich serpentynach. — Narty — mocno się jeszcze czując w podgórskiej krainie, przez trzy tygodnie do ciągłych pieszczot i smarowań przyzwyczajone, nie pozwalały się ignorować; przypominały o swej obecności, sprzeciwiając się sennaści i zbyt szybkiemu o nich zapomnieniu...

Nazajutrz, na którejś z dalszych stacji, otworzyłem kwieciste zamazłe, przedziałowe okno.

— Zimno, — jakieś inne, niemile przejmujące, ogarnęło mnie. Nieprzyjemnie się zrobiło..., czegoś mi brakło.

Gdzie spojrzeć — płasko, — nudno płasko i monotonię i przygnębiająco... Górska bajka była na długo przesłonią...

Powracaliśmy do rzeczywistości, do życia codziennego do szkoły... Pociąg po pięknym, może zakrótkim, wszechstronnym wypoczynku, były z góry nazajutrz zapowiedziane, całodzienne loty...

S.P.L. Dęblin.

podchor. W. Szyszkowski.



Dęblin 1930



Patrol narciarski w marszu

„MANEWRY ZIMOWE”

„Zimowe manewry w przyszłym tygodniu”, słowa te wywołały magiczny skutek. Rozdzwonił się telefon — na drutach do różnych cioc i kuzynek, mimo T. W., popłynęły prośby o jedzenie i pieniądze. Szły listy, w których cenusi w ciemnych barwach przedstawiali swe przyszłe udutki. Prośby te trafiły do serca — odpowiedzi nań były liczne paczki i przekazy, z którymi ledwie mógł się uporać podoficer gospodarczy.

Im termin manewrów się zbliżał, tem bardziej wydłużały się miny „maminsynków”.

— „Cały tydzień być w polu, spać po stodółach, męczyć się — to przerasta me siły” — myślał niejeden i szedł do lekarza. A nuż się uda... Był nawet i taki, co przypomniał także, że przed laty złamał sobie nogę i przedstawił nawet lekarzowi zdjęcie Roentgena. Kilkunastu chorych (markierantów, zwolniono. W kompanji ostatnie przygotowania. Czyszczenie, oporządzenie, napełnianie plecaków frykasami, których nie szędziły dobre mamusie swym synkom.

Przeгляд kompanji i pogotowie marszowe. Na korytarzach cisza — wszyscy na salach oczekują na alarm. A ten jakoś się nie zbliża. Niemal 24 godz. trwało pogotowie. Wreszcie alarm! W kilku minutach kompanja gotowa do wymarszu.

Na dworcu towarowym, dokąd się udaliśmy ruch. Ładowanie transportu odbyło się w wielkim porządku. W wagonach czuliśmy się niczem przysłowiowe śledzie w beczce. Taki sam ścisk i... zapach. O ile ładowanie ludzi szło szybko — to gorzej było z końmi. Zdawało się, że zamiast „cenzus” wprowadzić konia, to koń jego wprowadzał. Rozmaicie bywa... Trąbka! — sygnał do odjazdu — w nieznane. Różnicy między popularnym pociągiem w „nieznane” a naszym niema, tylko że, wszyscy wiedzą, gdzie jada. W wagonach wesoło — śmiechy — wzajemne naciągania się. Powoli gwar ucicha — rozmowy milkną. Morfeusz zatacza skrzydła nad nami, czuwa tylko służbowy.

Świta! — przecieramy oczy, z jękiem wyprostowujemy zbolale kości od leżenia na twardej podłodze wagonu. Z ciekawością wielu spogląda na piękne okolice podkarpackie — dużo z nas jest tu pierwszy raz.

Zajeżdżamy na stację końcową. Wyładowanie bataljonu nastąpiło nadzwyczaj szybko. Po wyjściu z wagonów pada energiczny rozkaz: „ładuj broń! pogotowie gazo-
Kraków

wel łopatki za pas! kompanja — a — marsz!” Ćwiczenia rozpoczęte. Szybki krok zamienia się niebawem w bieg. Nieprzyjaciel pod miastem! Za cmentarzem zajmujemy podstawę wyjściową. Godz. 12 — nasz bataljon rozpoczyna natarcie. Brniemy w błocie i śniegu. Teren górzysty — rozmokły — ciężki. Silne natarcie powoduje powolne cofanie się czerwonych. Drogą tą — osiągamy wioskę — natarcie Po szybkim przecyzyszczeniu broni — obiad i kolacja.

Zapadła noc. Wszyscy pomęczeni natarciem śpią. Ciższą nocą przerywa przeraźliwy głos trąbki. Alarm! Pożar. Nie danem było nam spać tej nocy. Po ugaszeniu ognia — pobudka i dalsze natarcie. Nieprzyjaciel cofa się coraz bardziej. Nie bacząc na ciężkie warunki terenowe nacieramy szybko i zdecydowanie, wspierani ogniem artylerji i ciężkiej broni maszynowej. Barykady — stawiane przez czerwonych na ulicach miasteczka przez które idzie linja natarcia — szybko są usuwane. Opór nieprzyjaciela słabnie zupełnie z chwilą zdobycia mostu. Natarcie trwa do późnych godzin popołudniowych. Długotrwałe natarcie. Szybko więc rozwaterowujemy się. Po forsownym natarciu — nadzieja dłuższego odpoczynku, gdyż kompanja nasza przeszła do odwodu, uśmierzyła zmęczenie. Naszą drużynę prześladował pech i tej nocy, gdyż dziecko gospodarza u którego spaliśmy tak darło się, że mimo zmęczenia nie mogliśmy spać. Jeden z naszych, niedawno „Wesołym” zwany, odrazu domyślił się oco dziecko drze się. Przynosił nieznosnemu bachorowi nocnik i uspokoił go. Później spało się doskonale. Rano z wielką radością dowiedzieliśmy się, że ćwiczenia z powodu roztopów, ciężkiego terenu przzerwano.

Humory powróciły — teraz furda wszelkie ćwiczenia. Kompanja przez cały dzień dobrze wypoczęła. Wieczorem powrót do Krakowa. Podróż powrotna minęła szybko na opowiadaniach, względnie bujaniach o „bohaterskich wyczynach” poszczególnych kolegów. Trzydniowe ćwiczenia stworzyły legendę koło niektórych kolegów, sławnych zwłaszcza z donjuanerji.

Na horyzoncie wykwitły wyniosłe wieżycy Marjaćkie — Kraków. Skończył się nasz trud. Wróciliśmy bogatsi o nowe zasoby wiedzy żołnierskiej, zdobytej własnym znojem i potem.

st. strzelec z cenz. St. Jarzębiński



WYKŁAD O BUCIE

O SOBY:

- 1) Wykładowca,
- 2) 3 kanonierów.

Baczność!
Dzisiaj nauczę was o bucie ćwiczebnym. Spocznij!

Czy to jest krowa? (pokazuje na but) Nie to jest but ćwiczebny, półpancerny wzór 29 z podkówkami stalosurówkowymi.

Co to jest (zwraca się do kanoniera).

- 2) z cholewy,
- 3) z przyrządów do czyszczenia.

Przyszwą składa się: z noska, lewoskrętnego w bucie prawym, prawoskrętnego w bucie lewym z części wzgórkującej, napiętnika i obcasa obkutego.

Cholewa składa się z wlotu, 2 uszek, w których znajdują się otwory Nr. 1 i 2 (pokazuje otwory w uszach buta) i z części powietrznej wewnątrz cholewy. Część powietrzna bywa lekko zanieczyszczona.

Do przyrządów do czyszczenia zaliczamy: trzy szczotki i pastę. Pasta znajduje się w pudełku kolistem. Nazewnątrż pudełka widzimy: wieczko, wkład, denko i zacisk. Znaki malowane na pudełku oznaczają fabrykę pasty i partję produkcji. Zacisk służy do zaciskania pokrywy górnej.

— Łajzowski!

K.: Jestem.

W.: Nie jestem, ale „jezdem”. Do czego służy zacisk?

K.: Do zaciskania.

W.: Bardzo dobrze, bardzo dobrze!

Dalsze przyrządy do czyszczenia to trzy szczotki, szczotka ryżowa, wzór 08/15, szczotka do glansu i mazak. Mazak składa się z rączki, z kiści włosów i z obsady kiści.

Buty służy nam a) do przyjmowania pozycji zasadniczej, b) do przyjmowania pozycji spocznij i c) do czyszczenia.

Baczność! Rozejść się.

Bomb. z cenz. M. Eile.

O FAJKACH, MONOKLACH I SERZE LITEWSKIM

Prognozyki były wręcz ponure. Wyjeżdżając z Tryszczy-
nię spotkaliśmy babę z pustymi wiadrami — sam spraw-
dzałem, — a na trzecim kilometrze Kajtek stwierdził, że je-
go lornetka leży najspokojniej na oknie w chałupie, w któ-
rej spędziliśmy wybitnie zgrzyźliwą noc. Nigdy jeszcze nie
byłem tak pogryziony. Błąd nie polegał na zostawieniu
lornetki, ale wrócenie po nią
było równoznaczne z wy-
woływaniem wilka z lasu.

Skutki nie dały na
siebie długo czekać.

Krawędź lasu urwała
się i odsłoniła długi, szeroki
rów pełen błota, zwany
przez ludzi dobrej woli trak-
tem. Po obu stronach trak-
tu posuwały się drobnym
trućkiem dwa rzędy ka-
walerzystów. Razem plu-
ton. Lance bez proporczy-
ków.

— Wprzód odprzed-
kój — stój! — ryczy Kajtek.

Konie poplątały się
w postronkach. Siewruk

zjechał na szyję wierzgającej „Armadzie”, ale w przeciągu
kilkunastu sekund odprzedkowane działa zerkały na naciąg-
ających. Cały pech polegał na tem, że nie mieliśmy amu-
nencji. Przysłowiowe dobre wrażenie widocznie również nie
odniosło skutki, bo kawalerzyści nie zmieniając tempa wa-
lili prosto na nas. Zostały jeszcze karabiny.

— Preszę nie strzelać,
bo się konie spłoszą.

Pierwszy ułan kiwa
polubownie ręką. Widocznie
uznał się za pokonanego.
Skąd ja go znam. Kajtek
szturecha mnie łokciem w
bok.

— To ten Anglik,
psiakrew.

Acha. Wczoraj, czy
przedwczoraj wieczorem
przeciągał w asyście dwóch
żołnierzy dwieście metrów
przed naszym plutonem, nie
zwracając najmniejszej uwa-
gi na to, że oba działa
dosłownie ziały ogniem.
Zdaje się, że nawet ziewał.



W słońcu

To oczywiście on. Długa, antypatyczna twarz z fajką. Też fason. Zatrzymał się między działami, ułani wianuszkami naokoło nas. Na obliczu miał wyraz szatańskiej radości.

— Nareszcie was mam.
Zdębiałem.

— Przedewszystkiem nie was, kolego, a powtóre wcale nas nie macie.

Przesunął po mistrzowsku wargami fajkę w lewy kącik ust.

— To, że jestem podchorążym nie uprawnia was do mówienia mi kolego. Jestem waszym wrogiem, a szukam was już drugi dzień. No, a teraz armatki zaprzęć i jazda z nami.

Kajtek roześmiał się sardonicznie, siadł na łożu i spokojnie skręcał szczyptę machorki w kawałek gazety.

— Widzę, że musiał pan przed chwilą z tego swojego kościstego muła spaść na łeb...

— Prosto na kamień — dorzuciłem z uprzejmym uśmiechem.

— ...działa są odprzodkowane i nie trzeba rozjemcy, żeby stwierdzić, że z pańskiego plutonu została tylko jedna końska szcęką z fajką w zębach.

Ułan patrzył ironicznie i wyciągał swój atut.

— Jak wy tutaj chcecie strzelać bez za-kry-cia? No i co panowie artylerzyści?

Luzak zręcznym chwytym powstrzymał mnie od wprowadzenia w życie chęci wytarżania się w błocie i późniejszego pęknięcia ze śmiechu. Kajtek drzącymi rękami zbierał z łoża rozsypaną resztę machorki.

Ułan oglądał nasze zadowolenie szczerze zdziwiony.

— Nie widzę powodu do radości, jeżeli nie możecie strzelać.

Machnąłem zrezygnowany ręką.

— Z pańskim koniem możebym się dogadać, ale z wami.

Widocznie poczuł się obrażony, bo zmarszczył brwi i oznajmił sucho.

— Nic nie gadać, zabiera te... te armaty i marsz.

— Możebym tak wystrzelić sobie kilka razy szrapnelem wzór 27 łamanym przez 13 o własnościach zapalająco-dujących — zaproponowałem donośnym półgłosem.

Ułani cofnęli się na skraj drogi.

— Ależ niema sensu, za pięć minut — Kajtek zerknął dyskretnie na przegub ręki, chociaż zegarek spoczywał od roku w lombardzie — nasz pułk będzie tutaj. O, zdaje się, że słyhać tankietki. — Wyjął z za mankietu kawał hebrajskiej gazety, zatłuszczonej kielbasą i zajął się lekturą.

Kawalerzysta rzucił kilka retorycznych uwag o workach do owsa z osłej skóry i pogroził pięścią.

— My się jeszcze spotkamy!

— Nie wątpię, że będzie to dla was bardzo smutne.

Odjechali wyciągniętym klusem.

Kajtek parsknął.

— Dobrze, że nie zauważył, że nie zdjęliśmy kapturów z wylotów i z zamków, bo mógłby się potem czepiać rozjemcy.

Po długich i ciężkich cierpieniach odnaleźliśmy wspierany bataljon, wypchaliśmy przodki granatami i komiśnikami i legliśmy w stółkach dołce farniencie. Z paru stron dochodził monotony terkot karabinów maszynowych. Czasem warknęły granat, gruchnęła zduszona palba i znowu spokój.

Kajtek rozłożył się na paru kocach i usiłował spać. Szarpał się co chwila, jak podwórzowy brytan na łańcuchu i zanurzał obie ręce pod płaszcz. Wspomnienia Truszczyńnię.

Beznadziejnie. Dopiero po południu zamłaskały gdzieś za nami kopyta.

— Chroń przyjechawszy — oznajmił Siewruk — mel-dowatsia.

Chroń, goniec dowódcy baterji, zsunął się z siodła i salutując podał mi grubszą kopertę.

— Pan podchorąży ma wręczyć to jutro do dwunastej. Adres na kopercie.

— W porządku, możecie jechać spowrotem.

Obudziliem Kajtkę.

— Dawaj mapę. Zabrakło gońców i muszę zaraz wiać.

Pogrzebał w torbie polowej, przetrząsnął wszystkie kieszenie.

— Siewruk, zobacz czy tam w sakwach niema mapy!

— Nie, tylko ser.

— Napewno zabrałem — drapał się ordynarnie całą garścią — Siewruk! W co jest owinięty ten ser.

— W gazetę.

— Djabli nadał.

Jeden z dowódców kompanji wyjaśnił mi łaskawie, że Parkolewsczyzna jest dobry kawałek za Oszmianą, razem blisko dwadzieścia pięć kilometrów. Naszkicowałem w paru rzutach drogę marszu w notesie, dla ulżenia koniowi zastawiłem w przodku maskę i obarezony „Parabellum“, z kopertą ukrytą pod płaszczem, na piersiach, kiwnąłem na Kacinię. Życzenia Kajtkę: „przyjemnej zabawy“, zbyłem pogardliwym milczeniem.

Pod wieczór rozchlapał się deszcz. Zaciągnięte chmurami niebo nie rokowała nadziei na poprawienie się pogody przed końcem manewrów.

Konie z trudem wyciągały nogi z błota. Kaciniel nucił fałszywie jakąś ruską piosenkę. Zmrok zapadał coraz prędzej. Jeszcze ostatni raz rzuciłem okiem na szkic drogi — niestety nie miałem najmniejszego pojęcia w jaki wytyczny punkt zaczepić kontemplację. Wyjąłem z wody mokry świstek i wepchnąłem do kieszeni.

Posuwaliśmy się stępem naprzelaj w ogólnym kierunku na zachód. Trakt rozchlapał się gdzieś pod kopytami i wsiąkł w mokre mlaskanie łąki.

Było po dziewiątej. Ani jednego światełka. Ani jednego szmeru, chrzestu. Choćby szczekanie. Nic.

— Czort pobierzy.

Podciągnęliśmy na grzbiet małego pagórka. Gdzieś, trochę na północ łypało parę jasných okien. Bez słowa skreśliłem na światła. Nie było sensu wałęsać się po nocy.

Potknąłem się na rzuconej w poprzek ścieżki belce. Białe psisko z wywieszonym jęzorem plątało się gościnnie między nogami. Czarny cień zmaterjalizował się i mruknął wcale ujmującym głosem.

— Dokąd jedziecie?

— Chcieliśmy przenoćować.

— Miejsce jest, panie. Tu już przyszedłszy pięciu żołnierzy. Starszy jest we dworze, a ci śpią w stodole.

Złote szyby drgnęły rezonansem angielskiego foxtrotta. O, Boże. Radjo, tutaj! Rzuciłem wodze Kacinielowi i biegnąc rzucałem rozkazy.

— Rozbierz konie i potem przyjdź zjeść coś do kuchni.

Przed ganeczką zetknąłem się dość gwałtownie czołem z umundurowanym cieniem.

— Co tu się szwendasz?! Z którego pułku?!

— Z pierwszego... ja tylko...

— Acha. Możecie iść spać. — Pierwszy pułk należał do strony przeciwnej. Sytuacja nieco komplikowała się.

Pchnąłem zamknięte na słowo honoru drzwi. Ciemny niski pokój z jasną plamą na przeciwnym skraju. W plamie stół dosłownie uginający się. Nawet parę pękających kształtów butelek, może zresztą tylko gra podnieconej wyobraźni i półcieni. I typ ponury, miarowo poruszający szcękami. Nieprzyjaciel, bo jestem i niebieski i głodny. Futerał zaciął się na amen. Niema mowy o wydobyciu Parabellum. Nie namyślając się odpiąłem futerał i dzierżąc go w wyprostowanej ręce skradam się cicho przez pokój. Gumowe podeszwy



„Ręce do góry, odłóż broń, widelec również“

nasiąknięte wodą piszczały do wtóru skrzypiącej podłodze. Typ nadal bezczelnie obżerał się.

— Ręce do góry, odłóż broń, widelec również.

Typ podniósł głowę, zakrzuszył się i wstał wyciągając obrośnięte łapy w sufit.

— Aresztuję pana, jest pan w niewoli. Zdjąć pas i sznurowadła, albo... mogą zostać.

Wynurzyłem się z cienia na środek pokoju. Typ uśmiechnął się szeroko i opuścił ręce.

— Co jest?! Ręce do góry! Otoczyłem ten dwór z baterją. Pan tu zostanie, ponieważ muszę zasięgnąć u pana języka. Spuścić łapy. Siadać. Pierwszy pułk piechoty. Plutonowy i to podchorąży. Naturalnie zabłądził pan, wstyd i hańba.

Za plecami szcęknęły drzwi. Obróciłem się i zdębiałem. Nawet nie w manewrowych warunkach taką kobietę uważałbym za zjawisko. Parabellum wysunęło się z prawej ręki; w ostatniej chwili schwyliłem je lewą. Typ podszedł i z przyjacielskim mrugnięciem oczu przypomniał mi o obowiązku zdejmowania furazetki w pomieszczeniach pod dachem.

Niewiasta patrzyła się szeroko otwartymi oczami. Typ obłądnie uśmiechał się. Ukłoniłem się z gracją, ucałowałem podaną dłoń i dla podkreślenia ważności chwili zwróciłem się do jeńca.

— Nie chciałbym, żeby pan miał przykrości z powodu tego wypadku, wobec tego puszczać wszystko w niepamięć, pod warunkiem, że zastосуje się pan do moich rozkazów.

Rozłożył bezradnie ręce.

— Po pierwsze uda się pan bezpośrednio do swojego pokoju, gdzie pozostanie pan do świtu.

— Ależ zaprotestowali jednocześnie.

— Pani wybacz. — Do niego zwróciłem się szeptem. — Jest pan zarośnięty jak Franciszek z Assyżu i co chcesz tu robić? Pod drzwiami będzie czuwało dwóch moich ludzi i jeden pod oknem. Powtóre, w dniu jutrzejszym moja osoba bez względu na okoliczności pana nie będzie obchodziła. Zrozumiano?

— No... niby tak.

— Zrozumiano. Parol.

Podąłem mu łaskawie dłoń. On zerknął żałośnie na stół.

— A może pan zechce zasięgnąć języka?

— Nie, dziękuję. Dobranoc panu.

Jakoś kolacji dorównywała urodzie gospodyni, ilościowo — nawet przewyższała ją.

O świcie czekałem na ganku na Kacinię. Jeniec stał oparty o futrynę drzwi i od czasu do czasu rzucał treściwe słowo pod moim adresem.

— Niech się kolega nie żołądkuje. Musiałem tu zostać, a wołałem żebyście wy byli jeńcem anizeli ja. A propos, jak się ten majątek nazywa?

— Mockuny.

— Mockuny. — Były zaznaczone na szkicu, ale rozpuściły się razem z całą drogą. Będzie jeszcze z pięć kilometrów, ale którą? Wyjąłem papierosnicę.

— Może kolega zapali. O pardon, zostawiłem papierosy w walizce.

Jeniec wruszył ramionami.

— Stary kawał i dość głupi — ale wyciągnął pudełko „Płaskich“.

— Dziękuję. Którą kolego do Parkolewsczyzny?

Spojrzał zdziwiony i zagryzł wargi.

— Najlepiej traktem przez tę wioskę. O widzicie?

Kaciniel podjechał, ciągnąc za pysk opierającego się „Drania“. Pożegnałem serdecznie obrażonego piechura i naprzelaj, przez łączkę pokłusowaliśmy do schowanej w drzewach wioski.

Kaciniel miał wybitnie uszczęśliwiony wyraz twarzy. Pas popuszczony o kilkanaście dziurek.

Wjechaliśmy w pierwsze optoki. W jednej z zagród stało kilka osiodłanych koni z obrocznikami na łąkach, w drugiej też i w trzeciej. Kopyta łomotały miarowo po bruku. Koło kuchni polowej kręciło się kilku ułanów z meżkami w rękach. Uśmiechali się do nas szeroko. Napewno mlaskali z wyższością sądząc, że nie jedliśmy śniadania.

— Panie podchorąży.

Kaciniel pokazywał ostatnią chałupę.

Zmarłwałem. W drzwiach sterczała długa tyka, podpierająca się chudymi, krzywymi nogami z fajką w zębach. „Drań“ jęknął spięty ostrogami, rzucił się w bok, dał jednego, drugiego susa i wyciągniętym galopem wyrwał przed siebie. Fajka stuknęła o stopień schodków.

— Do mnie! Do mnie! Na koń!

Wiatr świszczał w uszach. „Drań“ wyprężony jak struna, cwałował nie dotykając ziemi kopytami. Kilka metrów dalej Kaciniel na „Ipciu“. Ułani widocznie podciągali jeszcze popręgi. Na lizjerze lasu przeszliśmy w kłus. Przez łąkę galopowało kilku jeźdźców. Na czele drągali w rozchełstanym mundurze. Szukaj wiatru w polu. Kluczyliśmy kilka minut po lesie. Straciłem kompletnie orjentację. Kaciniel przypomniał sobie, że kiedyś był tu w tych stronach jadąc na koński jarmark do Oszmiany, ale ponieważ miał



„W drzwiach sterczała długa tyka“...

wtady około sześciu lat nie mógł służyć dokładniejszymi informacjami. Marszu na słońce nie można było stosować, bo najpierw były drzewa, potem chmury — jedne i drugie nieprzeniknione.

Po godzinie natrafiliśmy na leśną dróżkę. Pozostawał jeszcze wybór kierunku. Chyba w prawo. Kaciniel przypomniał sobie, że w lewo. Gdzieś o parę kroków parsknął koń. „Drań”, skończony drań, zaczął rżeć jak szalony. Nawet nie zdążyłem położyć mu palca na ustach. Z za drzew wyjechał... Kajtek, za nim kilkunastu konnych.

— Spodziewałem się, że ciebie gdzieś tu spotkam — machnął pogardliwie ręką. — A może masz co do zjedzenia?

— Owszem — skonstatowałem od niechęci — metr kielbasy i kulę sera, nie licząc świeżego chleba z najpiękniejszego dworku pod osmiańskim niebem.

Wśród jeźdźców rozległ się nabożny szmer podziwu. Kajtek bladej, jak śmierć, zsunął się z siódła. W kaciach ust pokazała mu się różowa piana.

— Daj... całą noc jechaliśmy... śniadanie w rowie — za chwilę napewno klęknie.

— Spokojnie, spokojnie. Najpierw, co ja mam zrobić?

— Major... jedźcie paraset metrów za nami...

Skręciłem w miejscu „Drania”.

— Najpierw ser! kielbasa! chleb! — ryczał Kajtek, szukając nerwowo przy boku spluwy — po moim trupie przejedziesz!

Blade twarze jego eskorty, łyskające zęby i karabinki oparte na udach dopełniały niedomówień.

Zbliżało się południe. Stanęliśmy w prześwietlającym niebem zagajniku. Kajtek obgryzał resztę kielbasy. W powietrzu wisiała woń ziemi i potu końskiego. Traktem zbliżało się w naszym kierunku dwóch jeźdźców. Wyjąłem automatycznie lornetkę i przyłożyłem do oczu.

— Kaciniel, Ławruwaniec i Łuksza na koń. Czekać na rozkaz.

Zdjąłem futerał i przy pomocy noża, zębów, kolan i paznogi wyciągnąłem pierwszy i ostatni raz w czasie manewrów Parabellum. Zresztą nie nabity.

Toruń, S. P. Art.

NIEBIESKIE OCZY

Historja prawie autentyczna.

Jak zwykle, w podobnych historjach sedno sprawy leżało daleko — w Warszawie. „Sedno” miało niebieskie oczy, nogi jak dwie liryczne poezje, kapelusz, podnoszący wdzięki o całe sto procent i włosy jasne jak reklama „jaśniejsze słońca”. Wszystkie te atrybuty kobiecości przewijały się upojną mgiełką w marzeniu ślesknionego na szaro Jacka. Przebrnął przez pięć dni tygodnia i utknął na szóstym — na sobocie. Z potężnym trzaskaniem w piętę i patosem w głosie prosił posłusznie pana drużynowego o pozwolenie stawiania do raportu z prośbą. Z mniejszym tupetem za to z wielką duszą na ramieniu meldował swą sprawę panu poręcznikowi Wisiał wzrokiem i słuchem na ustach swego dowódcy, czekając słów odpowiedzi jak wyroku, rozstrzygającego losy świata. Odpowiedź przyleżyła uwolniła piersi od stupodowego ciężaru — ufl! A potem oko w oko z trzecią władczą instancją:

— Panie kapitanie, strzelec z cenzusem Jacek Niewypał prosi posłusznie... — z zapartym tchem jak przy pociąganiu za język spustowy oddał seryjny ogień regulaminowo zredagowanej prośby. W odpowiedzi usłyszał łagodne słowa dowódcy kursu, który zaa swego biurka jak mityczny bóg zaa chmury z przyjemnym uśmiechem uszczęśliwiał śmiertelnych.

Nie było najmniejszych wątpliwości. Zbliżała się chwila czwartego, decydującego spotkania z Anglikiem.

Kajtek przysiadł koło mnie z równie potężną spluwą w łapie, podobno ściągniętą ze zbiorów Muzeum Narodowego — za nami reszta.

Drągał nadjeżdżał flegmatycznym stępem, prawie ciągnąc nogami po ziemi. Fajkę wraził w twarz i wbiwszy oczy w grzywę wierzchowca, zdawał się spać.

— Stój! Z koni!

Kościasta szkapa machnęła uszami i zaryła się szeroko rozstawionymi nogami. Ktoś bez najmniejszej potrzeby przytrzymał ją za pysk.

— Łapał kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma. Co? — Szydził Kajtek.

Ulan patrzył na nas z przygniatą wyższością.

— No pomaszurujemy do ula, kolego. Z konia, jeżeli łaska. Mileczał.

— Dlaczego pan nie nie mówi? Wczoraj kolega był taki rozmowny?

Naprawdę nie mogłem patrzeć spokojnie na tę twarz. Zdawało mi się, że jestem wobec niego takim małym, maleńkim robaczkiem.

Nagle Kajtek zaczął szperać w kieszeniach, błysnął czemś i już stał z rękami w kieszeniach i monoklem w oku. Ulan mrugnął kilka razy powiekami i wyjął fajkę z ust.

— Bardzo przepraszam nie wiedziałem, że mam do czynienia z gentlemanami. Ponowie pozwolą, że się im przed...

— Nie, nie pozwolimy — przerwałem — jest pan naszym...

Po łąkach, wierzchołkach drzew, po zabłoconej szosie, po pagórkach, bagnistych kotlinach, pomarszczonych strągach srebrnych poszedł złocisty dźwięk trąbki.

„Od-trą-bio-no”!

Z ostatnim, cichnącym tonem trąbki połączył się tętent trzech koni, zmierzających wyciągniętym klusem do Oszmiany. Po imieniu mówiliśmy sobie, jeszcze przed wypiciem bruderszaftu.

pchor. Z. Zajączkiewicz

ilustrował pchor. W. Piotrowski

— Kolega Niewypał może jechać.

Boże! Jackowi kancelarja zakreśliła się ze szczęścia w głowie jak karuzela w luna-parku. Jak biała gołębicę sfrunęła myśl o niebieskich, rozpromienionych powitaniem, oczach. Całą swą wdzięczność wiodła w potężne dostawienie nogi, gdy jak automat robił klasyczny „w tył zwrot” — aż się białym śniegiem tynk z sufitu posypał.

Na korytarzu obskoczył go podniecony tłum.

— Dostałeś? co powiedział? na ile jedziesz? kiedy? —

Nie przestrzegając form towarzyskich, przebił się przez zapórę ogniową pytań krótką, radosną odpowiedzią:

— Won! —

Jelenim susem znalazł się w drużynie, przy szafce. Ochłonał. Zdobył się na chwilę rozważy. Spojrzył na zegarek — czwarta. Pociąg odchodzi o piątą minut 17. Trzeba wyjść na stację najpóźniej kwadrans przed piątą. Zostaje 45 minut. Za głowę się złapał. Przez ten czas należało zwyciężyć następującą barykadę przeszkód: wykończyć czyszczenie K.B., przyoblec łożę w nową, wonną biel, wyszorować trzy taborety, własną szyję i ręce i, co najważniejsze, przebrać się od dołu, wypłatać się z owijaczy i wciągnąć najwyższą odznakę urlopową, długie jak marzenie spodnie i prywatne jak list od wybranej — buty.

Jak burza wystartował do niszczenia przeszkód. Z karabinem skończył kilkoma pchnięciami wyciora, łożko przez chwilę kotłowało się słomą, prześcierałami, kocami, zagłówkami jak wulkan lecz wkońcu objawiło wyrównane kanty i niepokalane płaszczyzny boków. Z taboretami sprawa poszła niezupełnie gładko. Niewszystkie dało się podmienić kolegom. Jeden został — trzeba go było szorować własnoręcznie. Ryzowa szczotka poszła w ruch.

— Raz! — raz — raz.

Szare od brudu mydliny przyskały aż na sufit. Czarne tłuste wdery trzymały się nieustępliwie.

Cholera!

Trzeba było poprzestać na „pozoracji” umycia. Podobnie było z własną szyją, która dziwnie przypominała kawalerski but. Jednak tu pomogły dalekie niebieskie oczy i wrodzone poczucie elegancji. O wpół do piątej wyswieżona szyja sterczała z obwódki białego żabotu i z lśniącego kołnierza wyjściowego munduru. Chwilę później na ostatnim etapie toalety pękło mu z hukiem sznurowadło cywilnego buta. Straszliwe przekleństwo jak wybuch obronnego granatu wstrząsnęło powietrzem.

Czas na nic nie zważał. Walił naprzód maleńkimi wskazówkami zegarka.

— Niewypał! a porządek w szafce musi być. Zameldujecie się przed wyjazdem.

— Tak jest, panie plutonowy — warknął przez zęby. Przed chwilą kolanem dopychał bezpostaciowy chaos wnętrza, w którym rękawy wiły się z nogawicami w barwach ochronnej lub pseudo-białej. W skotłowanej masie gdzieś niedługo można było znaleźć but o nieregularnej ilości gwoździ i błota na podszewkach. Przed chwilą borykał się z szafą, żeby drzwi dopchnąć, zamknąć na klódkę i wywiać. Drużynowy, zupełnie się nie licząc z niebieskimi oczami, kazał szafkę otworzyć. Drzwi odskoczyły jak na sprężynie. Cała zawartość wyładowała się na podłogę. Menażka z brzękiem zatoczyła się po podłodze, zajęchała do stóp panu plutonowemu i zaprezentowała mu swe rumiane od rdzy lico.

Drużynowy pchnął Jacka bagnetami ócz. Aż się biedak zatoczył jak jego menażka. Milczenie było ponuro wymowne.

— O niedo! pech... zawsze chodzi o ten łut szczęścia. Nie puścił mnie na urlop...

Jednak puścił, ale obiecał raport. Pal sześć! byle jechać!

Z pomocą kolegów Jacek zorganizował chaos szafy w regulaminowy porządek. Włożył wytworny płaszcz wyjściowy. Życzliwe, krzepkie ręce zaczęły go szarpać za poły w celu efektywnego ułożenia fałd. Wybrnął z tej opresji szczęśliwie bez uszkodzenia guzików. Kwadrans przed piątą z łopocącym sercem pod płaszczem i mundurem stanął w małym gronie urlopowiczów pod kancelarją po kartę urlopową. Zegarek szedł jak expres. Kwadrans. Dziesięć minut. Jacek czuł się jak odbezpieczony granat — liczył sekundy — raz — dwa — trzy... Nim wybuch nastąpił otworzyły się drzwi szamamu — wywołano nazwisko Jacka. Pochwycił złoty arkusz i jak Dziewica Orleańska ruszył przed siebie zdobywać świat.



...bezpostaciowy chaos wnętrza...

cięższe przekleństwa.

— Co do jasnej, generalskiej cholery! Mam sobie nie dać w skórę, kiedy o urlop chodzi?! Tyle razy ganiało się „służbowo” — można raz sua sponte — cholera!

W tej chwili zauważył gorejące ślepia nadjeżdżającego pociągu. Szosa biegła równoległe do toru. Do stacji został jeszcze jeden opłakany kilometr. Jacek struchlał. Jak oglupiały zajac wlepił wzrok w rzesistą smugę światła. Pociąg gwiznął, mignął węzłem oświetlonych okien, sygnął czerwonymi iskrami i brutalnie minął Jacka.

— Na stację biegiem marsz! — coś mu krzyknęło w duszy. — Niebieskie oczy — niebieskie... Ruszył z kopyta. Uczepił się wzrokiem ostatniego wagonu. Czerwona latarka jak kropla krwi jackowego serca zagłębiła się w ciemność, jednak nie zginęła. Zatrzymała się na stacji. Jackowi skrzydła u ramion urosły, choć język zwisał ze zmęczenia do pasa. Wszystko postawił na jedną stawkę. Wszystko — istnienie świata — zależało od tego ile czasu pociąg stać będzie na stacji.

— Biegiem marsz! to wszystko dla ciebie... —

W pewnej chwili poczuł, że swą nową, długą, urlopową nogawicą zaczepił o przydrożny drut kolezasty.

— Jasny gwint! i to przeżyję... —

Oczami duszy widział rozdarte nowe spodnie.

Pot słonemi łzami spływał mu po walecznym czole. Światła stacji jak złote komety raję błyszczały coraz bliżej. Jeszcze chwila i Jacek Niewypał jak ciężarowe auto zajęchał przed stacją. Był sam, wszystkich swoich kompanów zostawił daleko.

Kilkoma susami znalazł się przy okienku kasowym.

— Warszawa! — ryknął jak bawół i jak tenże bawół o mały włos nie wybił łbem urzędowej szyby. Kolejarz pocieszył go życzliwym głosem.

— Pan podchorąży ma jeszcze cztery minuty czasu. —

Jacek zataczał się jak pijany. Chwycił w jedną rękę kartę, bilety, resztę, portmonetkę, w drugą walizkę z pustymi słoikami po szmalcu i konfiturach i jak huragan wyskoczył na peron. Kolejarz z paskiem pod brodą i latarką u piersi jak oficer służbowy pułku zapędzał pasażerów do pociągu.

— Wsiadać... Odjaazd. —



...uczeplił się klamki jednego z wagonów...

Jacek uczeplił się klamki jednego z wagonów III klasy. Spojrzał w górę. W oknie stał sympatyczny uśmiechnięty porucznik z pobliskiego P.A.Lu. Jacek z pośpiechem uwolnił prawą rękę od niewygodnych drobiazgów i wyrzucił z fasonem w dach.

— Wsiadajcie, wsiadajcie, bo zostaniecie na stacji — uprzejmie odsalutował mu błyszczący nowością porucznik.

Jacek wciągnął się do wagonu jak do nieba. Stał się atrakcją przedziału. Wyglądał opłakanie. Po twarzy ciekły strugi jak u topielca. Żabot, tak misternie wiązany, wylazł bokiem i węzłowemi skrętami okręcił się wokół szyi, co nadawało Jackowi pozór chorego na gardło. Fałdy płaszczka z miejsca właściwego przeniosły się na front. Spodnie w okolicy lewej łydki prezentowały rozdarcie wyszarpane bardzo regularnie pod miarę kąta prostego. Można było Jacka pośmiać, że wracał z pola walki.

— Miejsce... — jęknął — pozwólcie skonać w ciszy.

Nie wiadomo skąd przyszedł Jackowi do głowy strzępek wiersza, kiedyś „w klasach” zasłyszanego: „Z gałązką lauru Grek ulicą bieży...”

Zrobiono Jackowi miejsce. Wzbudził litość w sercach podróżnych. Posypały się pytania.

Strzelec z cenzusem Niewypał z rozkoszą odpiął pas, zdjął płaszcz i powiesił przy oknie na głowie jakiejś życzliwie skrzywionej damy. Nagle sięgnął ręką do kieszeni — do jednej — do drugiej — do trzeciej. Wysypał wszystko z portmonetki — gdzie bilet? Aha — za mankieta w ręka-wie płaszczka. Odwrócił na lewą stronę. Niema. Tylko wałek kurzu.

— Do diabła... —

W tej chwili pociąg drgnął, jakby się przebudził z chwilowej drzemki, sapnął i poważnie ruszył ze stacji. W ostatnim momencie błyskawica jasnowidzenia przeleciała przez mózg Jackowy. Uświadomił sobie pośpieszne salutowanie przy otwieraniu drzwi. Skoczył do okna. Spojrzał w dół. Na peronie, na udeptanym śniegu leżał malejący, brązowy prostokąt i zdawał się prosić: weź mnie ze sobą... Jacek jak przystało na dzielnego żołnierza zdecydował się na działanie natychmiastowe. Wyskoczył z leniwie poruszającego się pociągu. Jeleniami susami skoczył w tył — podniósł bilet

i wystartował z powrotem. Pociąg toczył się coraz prędzej — niemiłosiernie. Jacek uczeplił się czarnej poręczki. Wciągnął się na stopień — jechał.

— „Z gałązką lauru Grek ulicą bieży...” — przesunął się zablakany strzępek wiersza.

— Ufl jak w amerykańskim filmie... To wszystko dla ciebie... —

Jechał.

Z astronomiczną dokładnością o godzinie oznaczonej rozkładem pociąg, transportujący Jacka, wtoczył się na dworzec. Ludzie jak mrówki wyroili się na peron i, unoszeni prądem pośpiechu, płynęli ku wyjściu. Strzelec Niewypał przez kilka godzin podróży ochłonął i wypoczął. Znowu wyglądał kwitnąco. Czuby się doskonale, gdyby nie pewna konieczna zmiana umundurowania. Okazało się, że od wyjść-gów z pociągiem koszula tak zmokła na spoconym karku, że trzeba ją było usunąć. Gwałtowne parowanie groziło zapaleniem płuc. Tak przynajmniej twierdziła uprzejma dama, skrzywiona uśmiechem. Jacek w miejscu odpowiednim koszulę z pleców ściągnął, wykręcił ją jak praczka i wetknął do stoika od konfitur celem zabezpieczenia go od stłuczenia. Koszulę zastąpić musiał włochaty sweter. Jego bezpośrednie sąsiedztwo ze skórą było conajmniej nieprzyjemne. Powodowało nieokręślone ruchy barkami i szyją. Możliwe, że po plecach Jacka pod mundurem chodzą wielki chrabąszcz. Wrażenie było dziwne. Taksamo pewno czuły się człowiek absolutnie wydekoltowany w pokrzywach. Jacek miał ochotę zatrzymać się pod latarnią i „cochnąć” się o słup, ale nie było na to czasu — niębieskie oczy były niedaleko. Serce jak anielskie skrzypce śpiewało najłodsze melodie. Według chyrego planu, ułożonego korespondencją, spotkanie miało nastąpić nie na dworcu, lecz na sąsiednim, drugim z kolei przystanku tramwajowym. Ostrożność ta była przedsięwzięta dla uniknięcia zbiorowego afiszowania się kolegom i ewentualnego „przedstawiania”, a dla zapewnienia jedyne go w świecie powitania w cztery oczy.

Wetknął w rękę kontrolerowi feralny bilet, oddał kilka honorów, zbiegł po schodach i — dziwna rzecz — nieśmiały krokiem poszedł w kierunku najważniejszego na kuli ziemskiej punktu.

Wszystkie słowa, które przez cały miesiąc potokiem w myślach wzbierały i układały się w liryczne desenie elokwencji, znikły gdzieś jak śnieg w promieniach słońca. Szedł i czuł się mimo bagnetu wiszącego u pasa zupełnie bezbronny.

W mroku zamajaczył odludny przystanek z grupką ludzi wokół.

Jak ostatniemu cywilowi biło Jackowi serce pod ochronną barwą.

Podszedł bliżej i wzrokiem badał przedpole — szperacz własnego serca.

Jeszcze nie wierzył. Gorzka szarość przesłoniła świętęcną nastroj duszy. Niebieskich oczu nie było.

Czekał kwadrans — pół godziny.

Powoli przejeżdżały puste — puste tramwaje. Ludzie wsiadali i wysiadali. Jacek stał nad ruiną swego marzenia. Żegnał się z niem w smutku jak Judyń z Joasią. Stał i patrzył przed siebie. Znowu niewiadomo skąd przybłąkały się w pamięci słowa: „Z gałązką lauru Grek ulicą bieży...” Poczuli się bardzo zmęczeni. Patrzył przed siebie — niebieskie oczy odbiegły daleko i znikły. Z dalekiego migotliwego miasta wysnuła się cichą melodiją, nowa myśl o innych umiłowanych oczach. Jacek tęsknił za matką. Szedł w kierunku domu.

Strzel. z cenz. J. Kierst.

KALEJDOSKOP

SOBOTA

MARSZ

Popołudnie. Nareszcie czas wolny. Jeszcze tylko porządków na ciele i w rejonach własnych legowisk. Lecz już łó-zeczko pięknie zasiał — wyglądził — wychuchał ze starannością godną lepszej sprawy i już ostatnie, przed wyjściem na miasto, spojrzeń rzucił na resztki lusterka, pieczołowicie przechowywane gdzieś tam w najgłębszej kieszeni, jeszcze od czasów „cywila”: gdy lotnik, zrodzony gdzieś w głę-bokich tajnikach, zawsze pełnego przekory serca twego prze-łożonego, z huraganową przewrotnością nawiedził twe łóżko! O wielkie boleścią i pełne goręczy serce cenzusiaka — nie trąć animuszu: — to nie dramat. Zerwij się lotem błyskawicy ze swego stołka, na któryś tak bezsilnie przed chwilą opadł i ćwicz się dalej w misternym układaniu: kocy — „zagłó-wków” prasowaniu i kantowaniu, powtarzając to, według rzymskiej zasady (repetitio est mater studiorum, a wiadomo, że w sztuce wojennej nikt Rzymianom nie dorównał), już po raz nie wiem który, po to tylko, abyś wnet stanął na zbiórce ze swym siennikiem na strudzonych ramionach i jeszcze prędzej się rozszedł — by znów ochoczo poklusować do nowo-formującego się dwuszeregu. A gdy zbliża się godzina mo-dlitwy wieczornej masz już porządeczek i łó-zeczko tak wzoro-wo i kunsztownie zasłane i zestawione, że nawet oko ka-prała (o oko wszechwidzące) skazy na niem nie znajdzie. Lecz złośliwa i zezowata Ananke nie dała ci się cieszyć dłu-go pracą twych już bardzo niewielinowych rąk, albowiem po modłach z „bigłem” odprawionych musisz je „biegiem” do spania rozebrać. Smuczysz się?! Niewarto. Na przyszłą sobotę zrobisz to dokładniej i napewno o pięć minut wcześ-niej.

NIEDZIELA

Tak pusto i cicho w koszarach... długie szeregi łózek lśnią nieskazitelną bielą, a wyciągnięte w jedną linię tworzą mocną perspektywę. Nastroj spokojny, nudny. W salach wykładowych nie wiele weselej. Jeden siedzi sztywno od godziny — niby mumja czeigodnego Omon — A z dynastji pierwszej i ostatniej zarazem. Drugi — niby Wielki Buddha zapatrzony w swój pepek z głową opuszczoną. Inny utkwiał błędny wzrok gdzieś w stratosferze i wylądować nie może na tym marnym globie z racji niepomyślne komunikaty od swojej „nadezłej stacji” u której zauważono znaczną zwyż-kę opadów (łzawych) z powodu niedawne rozstanie. A ci, zaszyeci w najgłębsze kąty i zakamarki sali, w ponurym zacięciu, od kilku już godzin piszą listy. Zaglądam chytrze przez ramię jednemu, zachowując niemniej przebiegłości niż przy regulaminowem prowadzeniu zwiańdów w terenie i czy-tam: O autorze — wybacz jeśli gdzieś niezbyt wiernie przy-toczę twe natchnione i ociekające uczuciem słowa:

„Piszę do Ciebie ten list mój przepojony dołą niezmierną. Może czytając go łzy słodkie oczy twe rozpalą, i może oblana wzruszenia szkarłatem pomyślisz o mnie — i myśli Twe kwiatem opadną na mą duszę... Pamiętajsz... to tak dawno było... Jesień pieśń smutku i tęsknoty grała na strunach babiego lata, a Tyś mi tak drżała gdyś Cię brała w ramiona... A wiatr porwał me słowa, na puste pola je wywłócił i tak niemi targał... Pamiętajsz... tak boleśnie targał...”

Poeta?! Chandra go dręczy — serce go śwędzi a nie może się weń podrapać! Odchodzę cichutko o ile to możli-we w naszych „wytwornych kujanach”.

Pułtusk.

Zśliśmy długo. Przed nami niekończąca się prosta linja drogi, najeżona grudą i niewdzięcznymi dołkami, zro-bionemi chyba przez złośliwy los, właśnie ku udreżeniu biednego cenzusiaka. Słońce pochyla się nisko nad widno-kregiem. Idziemy... czwórka za czwórka — równo — jedno-stajnie, z miarowym chrzęstem stawianych nóg. Gorący od-dech mgłą pary przesłania lica.

Czterdzieści kilometrów...

Jeszcze dwanaście. A nogi tak ciężkie, tak przedziwne wrastają w ziemię. Ciągniesz je z trudem, ciężko niby rze-pę wyrrywasz z ziemi i znów stawiasz. Raz dwa... raz dwa... Przed tobą dal i zniechęcenie... A droga wydłuża się — nie martw się, nie zbraknie jej... Białe, ośnieżone pola, w ostat-nich błyskach słońca rzucają refleks fioleto i ultramaryny. Nie widać końca dwóch równoległych linijek znaczących drogę — giną gdzieś w sienie linijce lasu na widnokregu. Raz, dwa... raz, dwa... ciągle i bezustannie. Już zda się, że nogi podchodzą pod ramiona — tornister opiera się chyba na płucach. — Żeby choć usiąść na chwilę — żeby to już koszary... Coś się troić poczyna w zmęczonej i podskakują-cej w takt marszu, łepetynie cenzusowca: kolacja — gorąca kawa — łóżko i wypoczynek...

Cóż do cholery kolega się tak pętasz jak pijana owieczka?!

Zły wracasz do swej dziury w szeregu. I znów równo, zdecydowanie, szereg za szeregiem prze naprzód, świadom swej siły i mocy.

A gdzieś w najgłębszej komórce zmęczonej myśli, dzwięczy refren jak sen cichy, jak moc sama krzepiący. „Ja Twój rycearz Polsko — w przednią straż posłany — dumą na-pełnię serca Twego stągiew. Mój trud — Twoją siłą — naj-wyższą jest Twoja chorągiew. Naprzód — w twardem zwar-ciu szczęk stłumić cieleśnie nerwów spazm i dojść do końca — do potęgi bram!...”

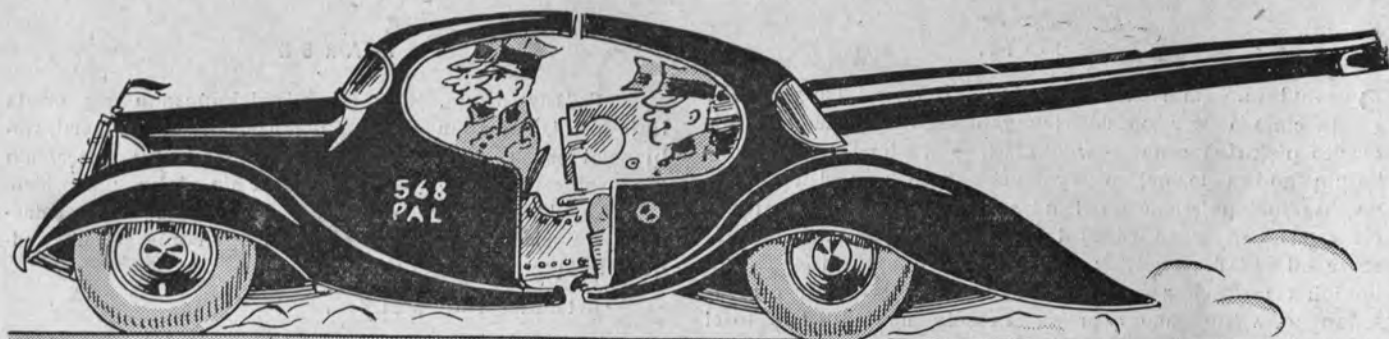
Wreszcie koszary. Jak przytulny buduar dziś wyglą-dające. Nieprawda że w wojsku nie ma żadnych przyjemno-ści. A pamiętasz z jaką radością przekraczałeś progi koszar i z jaką dziką rozkoszą zdejmowałeś buty i jakim rozrzew-nieniem napawały Cię twoje obolałe nóżki gdyś je z macie-rzyńską troskliwością oglądał i obmacywał?! O biedny cenzu-siaku.

REFLEKSJE

Z perspektywy lat, za mgłą oddalenia uśmiechną się do nas wspomnienia. I jakoś radośnie i młodo i błękitnie wspominać będziesz te chwile. I bardziej różowe wydadzą ci się te nastroje, któremi niegdys napęlniały Cię: i wiaterek hulający nocą po sali i chlebek tak żywo z formy i miękko-ści przypominający doskonałą polską kostkę granitową — i kawa czarna jak rozpacz i gorzka jak cierpienie. I „bojowe”, na którym mieniłeś się być, chociażby w swych listach, wo-dzem — bohaterem, choć podobno patrzyłeś tylko gdzieby się położyć wygodnie i gapiąc się w kałużę przed nosem ryb w niej szukałeś czy ze zgoła niefilozoficzną miną na obliczu słuchałeś jak mech pod tobą rośnie i marzyłeś o obiedzie i spoczynku. Lecz dla płci słabej byłeś znowu drogi panie podchorąży, tajemniczy i dzielny — wart kochania za swe trudy i znoje ponoszone dla Ojczyzny.

Strz. z cenz. L. Czerniewski.

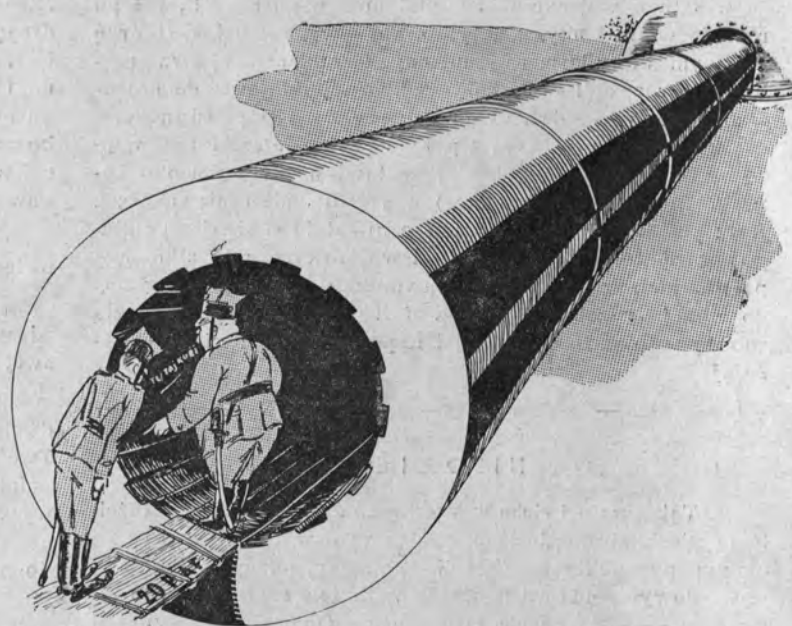
ARTYLERIA W PRZYSZŁOŚCI



Jazda na ćwiczenia — to przyjemny spacer.



Czyszczenie dział — to zabieg parominutowy.



Natomiast inspekcyjny zawsze taki sam!

Redaktor Naczelny:
podchor. TADEUSZ ŻENCZYKOWSKI
Zastępca Redaktora: podchor. J. SZPER

Adres Redakcji: Warszawa, Smolna 26/28.

Administracji: W-wa, Nowy Świat 23/25 W. I. N. O.

Konto P. K. O. 26.720.

WYDAWNICTWO WOJSKOWEGO INSTYTUTU NAUKOWO - OŚWIATOWEGO.

Redakcja rękopisów nadesłanych nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dowolnego wykorzystania nadesłanych artykułów i fotografii, jak również prawo zezwalania na ich przedruki.

REDAKCJA: podchorążowie i szeregowi z cenzusem: W. Bieliński, J. Błażejowski, H. Bzyl, J. Dostatni, K. Duszyński, M. Epstein, W. Fachinetti, S. Fiszer, S. Frontczak, A. Górski, S. Gutowski, R. Gürtler, Z. Janiga, J. Kierst, Z. Kmita, S. Kogut, S. Kołt, M. Koterba, E. Kotkowski, J. Kosiński, T. Królicki, B. Kucharski, J. Koziński, S. Lax, A. Leszczyński, Z. Laguna, T. Machajski, K. Michalski, W. Milczarek, M. Mokrski, B. Nuszowski, M. Palmarczuk, E. Pankiewicz, W. Skoczeń, B. Skraba, A. Staszewski, Strykowski, K. Szychowski, W. Szyszkowski, C. Tarnowski, J. Teter, J. Tułasiewicz, J. Wortman, T. Wyszowski, W. Zacharjasiewicz, Z. Zajączkiewicz.

Prenumerata: kwartalnie 3 zł., miesięcznie 1 zł., egzemplarz pojedynczy 50 gr.

Druk. „SPOŁECZNA”, Pl. Grzybowski 3/5, tel. 205-80.